

DUBLANY

Fragment książki

DUBLANY I ZIEMIE ZACHODNIE

Są takie chwile

Są takie chwile, gdy się nie śmie badać
swej własnej duszy, bo się człowiek lęknie
że ani jednej nie znajdzie w niej struny
co potrącona jeszcze czysto dźwięknie.

Lecz trzeba tylko jednego spojrzenia
pełnymi wielkiej miłości oczyma
by w akord związać wszystkie struny duszy.
Potrzeba jednych oczu - lecz ich nie ma!

K.P. T.

Autor: Zygfryd Dzedzej

Korekta polonistyczna: Filip Gajowniczek

Skład komputerowy: Ewa Gajowniczek

Wydanie I

Uwaga: Wszystkie prawa zastrzeżone

Piasecznik, 2017

SPIS TREŚCI

WSTĘP	3
1 TROCHEŃ WIADOMOŚCI Z KART HISTORII.....	5
2 KRÓTKO O DZIEJACH NASZEGO MIASTA POWIATOWEGO – SAMBORA	5
3 DUBLANY.....	11
4 PRZED WOJNĄ.....	20
5 OBYCZAJE, GWARA I OPOWIEŚCI	26
6 FOLWARK	37
7 WOJNA 1939 R.....	38
8 TAK BYŁO W DUBLANACH	45
9 ROSJANIE PRZYCHODZĄ PO RAZ DRUGI	53
10 NOWE CZASY	57
11 ROK 1945 NA ZACHODZIE	61
12 HISTORIA PIASECZNIKA	63
13 PO WOJNIE	66

WSTĘP

Przystępując do pisania tych wspomnień zastanawiam się czy zainteresują one czytelnika. Opisane zdarzenia i ludzie pochodzą z prowincjonalnej wsi, która w dziejach Polski nie wyróżniła się niczym szczególnym. Dublany to zwykła wieś, kropka na mapie, domy, ulice, cmentarze, kościoły. To przestrzeń zabudowana ludzkimi rękami, niszczona przez wojny i ponownie mozolnie odbudowywana. Nie było tu ludzi niezwykłych, znanych na świecie ani wybitnych osobowości. Jak czytelnik odbierze obrazy nakreślone przeze mnie? Podobne wydarzenia spotkać można było w wielu innych miejscowościach. Większość ludzi wkłada wiele wysiłku, by żyło się dostatniej, lepiej, pragnie, by panował spokój i służyło zdrowie. Zwykle troski i problemy nurtowały wszystkich mieszkańców wsi. Mam świadomość, że podobne wspomnienia ktoś już opisał, może lepiej i w sposób bardziej interesujący. Trudno mi dziś, po ponad siedemdziesięciu pięciu latach szczegółowo i chronologicznie wyliczyć wszystkie zdarzenia, których byłem świadkiem. Wspomnienia te nie będą przesłodzone nienagannie gramatyczną formą, ponieważ mam tylko wykształcenie średnie techniczne. W mojej pamięci zostały dwa ostatnie lata wojny widziane oczami dziecka. Z trudnością wspominam ostatnie miesiące okupacji niemieckiej, ale szczególnie mocno utkwiły mi sceny związane z wkroczeniem armii sowieckiej i zachowaniem się żołnierzy zaborczych państw. Poniżej postaram się konkretniej opowiedzieć zapamiętane zdarzenia. Życie człowieka to część historii, historii jego miejscowości, regionu i kraju. Owe wydarzenia, którymi wciąż żyję oceniam i opisuję tak, jak widziałem własnymi oczyma i pojmowałem własnym umysłem. W Dublanach, podobnie jak bodaj wszędzie, człowiek pracując, stara się stworzyć godne warunki do życia. Jest to oczywiste i normalne. Podobnie każda miejscowość tworzy jak i posiada własną niepowtarzalną historię. Jeśli nikt jej nie spisze, zginie w mrokach zapomnienia. Postanowiłem, więc zapisać chociaż malutki jej fragment. Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem kiedyś wspomnienia Niemca, pełniącego przez wiele lat, przed i w czasie drugiej wojny światowej, funkcję sołtysa Piasecznika. Potrafił on prostymi słowami, często z nutką humoru, odpisać swoje przeżycia. Wplótł w nie wiele codziennych zdarzeń, wesołe, smutne, a czasami także i tragiczne fakty historyczne. Nie zapominał o zwyczajnych troskach i radościach mieszkańców, wśród których spędził całe swoje życie. To zachęciło mnie i dodało odwagi. Uważam, że naród, który długo nie istniał na mapie politycznej Europy powinien eksponować wszelkie dowody świadczące o jego ciągłej obecności w historii. Nawet te kilka zdań, które postanowiłem w możliwie czytelny i wiarygodny sposób spisać, niech nie zniknie z pamięci. Przez kilka lat zbierałem wiadomości, robiłem notatki, wypytywałem starszych mieszkańców o szczegóły, szukałem dokumentów. Stwierdziłem ze smutkiem, że liczba tych ludzi szybko maleje. Coraz mniej wśród nas tych, którzy w powojennym okresie zaczęli tu życie. Przypominałem sobie zdarzenia komentowane często przez moich rodziców i sąsiadów. Zebrany przeze mnie materiał, na pewno nie jest dokładny ani wyczerpujący. Brak szczegółowych dat.

Nie dowiedziałem się o wielu wydarzeniach, niewątpliwie ważnych, niestety już zapomnianych. Ludzie, z którymi rozmawiałem przeważnie chętnie opowiadali mi swoje historie i przeżycia. Byli również tacy mieszkańcy Dublan, którzy o tamtych czasach wcale nie chcieli rozmawiać. Inni twierdzili, że tamte, koszarne dla nich lata, już zapomnieli albo definitywnie odcięli się od złowrogiej przeszłości. Wiele z podanych tu wiadomości czy nazw może być błędnie napisanych lub przekreślonych (przepraszam), ale to po tylu latach jest naturalne.

O samych Dublanach zebrałem niewiele wiadomości. Dlatego postanowiłem dopisać trochę wydarzeń w formie ciekawostek historycznych a dotyczących całego tamtejszego regionu. Mam nadzieję, że czytelnik chętnie się z nimi zapozna. A wszystkim, którzy cierpliwie i chętnie mi opowiadali, serdecznie dziękuję. Dziełem się tym właśnie, co z zebranych wiadomości wydaje się szczególnie interesujące. Pasja poznawania tych ziem, jej historii, losów ludzi żyjących tu niegdyś i dziś, drzemiała we mnie od zawsze, jednak nie miałem na to czasu. Pomijam tematy drażliwe, mogące kogoś krzywdzić. Cieszę się nawet, że mogłem opisać to, czego nie znałem i o czym dawniej nie wiedziałem. Mam nadzieję, że innych tym zainteresuję. Książkę tą adresuję do ludzi których korzenie wywodzą się z Małopolski Wschodniej, a w szczególności z młodszego pokolenia. Pragnę by poznali, choć w znikomej części codzienne zwyczaje ludzi, warunki ich życia, troski oraz traumę okupacji sowieckiej oraz niemieckiej.

Wspomnienia te powstały dzięki mieszkańcom Dublan chętnych do opisanie swoich przeżyć oraz skomentowania zaobserwowanych wydarzeń. Dziękuję tu mieszkańcom Dolic: Stanisławowi Żukowi, Anieli Krasnodębskiej, Marii, Janowi i Henrykowi Paliwodom, Marii Gabory; Anieli Szczęsnej, Katarzynie Fedak ze Stargardu; Ludwikowi Szkolnickiemu, Józefie Jastrząbek i Albinie Świątnickiej z Piasecznika. Dziękuję także Marianowi Posile, Marii Nasiłowskiej, Kazimierzowi Liszczukowi, Michałowi Międlarzowi za wspomnienia pierwszych lat już z naszego Piasecznika. Także Tadeuszowi Krawcowi z Choszczna za pomoc w wyszukaniu cennych informacji historycznych w Internecie.

Opracowanie *"Dublany i Ziemia Zachodnie"* stanowi poprawioną i rozszerzoną wersję tekstu autora, zamieszczoną w pracy zbiorowej pod redakcją Janusza Gajownicza i Tadeusza Siewiora *"Krwawe ślady"*, s. 13-74, 2005 (wyd. II *"Polskie ślady na Pomorzu Zachodnim"*, 2011).

Zygfryd Dzedzej

1 TROCHĘ WIADOMOŚCI Z KART HISTORII

Jan Długosz (1415 -1480) w *Rocznikach* (czyli kronikach) *Królestwa Polskiego*, napisał: *"Rzeka Dniestr zwana po tatarsku Turlo czerpie wody ze źródeł bijących koło zamku Sobień i toczy z góry Beskid, z miejsca zwanego Dąbrowica (nazwanego tak od osobliwego dębu tam rosnącego). Z pod tej góry biorą początek dwie rzeki, które spływają na polską ziemię, mianowicie Dniestr i San. Trzecia zaś, Cisa, kieruje się na stronę węgierską. Dniestr uchodzi do M. Czarnego koło Białego Grodu, zasilany kilkoma rzeczками z ziemi wołoskiej i Tyśmienicą ze źródłem w Górach Sarmackich koło Pokucia.*

„Dzieje bajeczne Polski”, na stronie 165 piszą: (...) wiadomo też o Polakach, że od początku swego rodu byli bałwochwalcami. Czčili mnóstwo bogów i bogiń, a mianowicie: Jowisza, Marsa, Wenere, Plutona, Dianę i Cycere, popadłszy w błędy innych narodów i szczepów. Wenere nazywali Dzidzileja (identyfikowana była z rzymską Wenus). Mieli ją za boginię małżeństwa”.

Wieś Dublany leży w Małopolsce Wschodniej (wedle przedwojennego określenia), między powiatowymi miastami Sambor i Drohobycz. Jest to stara słowiańska osada. Od wieków ziemie Rusi Czerwonej tratowały czambuły tatarskie i pustoszyły wojska tureckie. Czynili to także Wołosi, Moskale i Austriacy. Mieszkali tu Polacy, Niemcy, Madziarzy, Żydzi, Tatarzy, Ormianie i Cyganie. Te rozległe i urodzajne ziemie, nekane były ciągłymi wojnami.

2 KRÓTKO O DZIEJACH NASZEGO MIASTA POWIATOWEGO – SAMBORA

Pierwotna miejscowość Sambor leżała tam gdzie dziś: „Starysambor”. Wedle starego podania, osadę złupili i spalili Tatarzy w XIII wieku. Uratowani mieszkańcy poszli z biegiem Dniestru i o 2 mile od pierwotnej rzeki, w miejscu gdzie istniała wieś Pohonicze, założyli nową osadę nazywając ją Nowy Sambor. Osada ta, jako wieś istniała do 1387 roku. Obwód Samborski, w tym Dublany otrzymał w 1370 roku od króla W. Jagiełły wojewoda i starosta krakowski Spytko z Melsztyna. Budowę miasta i zarządzanie nim powierzył niejakiemu Henrykowi. Treść ceduły Spytki brzmiała:

„Dajemy i pozwalamy tymże zapobiegliwemu mężowi Henrykowi i jego prawym spadkobiercom, pełną i wszelakiego rodzaju władzę tamże w Nowym Samborze, inaczej Pohoniczu, miasto na i pod prawem teutońskim założyć, uczynić i łany porobić, ile ich tylko się da, takowe

wykarczować i wykarczowane uprawić. Z których to łąnów dziesięć ma być wolnych i odrębnych. Sześć wójtowi, dwa dla kościoła, dwa dla paszenia bydła tegoż miasta, pod zwykłym mianem Skotnicy należeć będą”.

Wszelkie prawa nadane miastu potwierdzają królowie: w 1576 r. Stefan Batory, w 1649 r. Jan Kazimierz, w 1669 r. Michał K. Wiśniowiecki, w 1748 r. August II Sas. Natomiast w 1788 cesarz Austrii Józef II ogłasza Sambor wolnym miastem. Herb miasta Sambor przedstawia jelenia pędzącego po zielonej murawie, od prawej ku lewej stronie na tle niebieskiej tarczy zdobionej u góry złotą królewską koroną, szyja jelenia przestrzelona w poprzek, od lewej ku prawej stronie, strzałą o czerwonych piórach.

Od XV do XVII wieku starostwo Sambor było własnością korony, następnie królowa Bona otrzymała je, jako „oprawę”. („Oprawa” – uposażenie osoby królowej i jej dworu). Królowa i król mieli osobne dwory. Sejm przyznawał im dochody w naturze bądź gotówce. Ponieważ Dublany leżą daleko od Krakowa to należny królowej podatek odbierał starosta samborski (w naturze czy gotówce - tego nie wiemy). Godności starostów przez długie lata piastowali członkowie rodu Odrowążów. W 1667 roku w wyniku rozejmu andruszowskiego ziemie Rusi zostały podzielone. Terytorium na wschód od Dniepru wraz z Kijowem, znalazły się pod panowaniem Rosji. Zaś leżące na zachód od Dniepru do Rzeczypospolitej. Przez cały XVIII wiek ziemie te były miejscem krwawych walk i areną sporów: Turcji, Rosji i Polski. W roku 1672 król Jan III Sobieski pobił pod Samborem Tatarów uciekających spod Kałusza. A w 1678 r. pismem królewskim zezwolił kupcom: Ormianom, Grekom, Wołochom, Węgrom, Ukraińcom i innym nacjom, na prowadzenie uczciwego handlu na targu w Samborze.

Już w 1626 roku Zygmunt III ustanowił nowy rozkład targów rocznych: pierwszego maja, w dzień św. Filipa i Jakuba apostołów; drugi, dziesiątego czerwca w dzień św. Onufrego Pustelnika; trzeci dwudziestego dziewiątego sierpnia na święto św. Jana Chrzciciela; czwarty trzydziestego listopada na dzień św. Andrzeja apostoła; piąty, drugiego lutego na oczyszczenie Najświętszej Maryi Panny. W piśmie tym wymieniona jest długa lista zaleceń dla wszelkiej kondycji ludzi trudniących się handlem, którzy powinni je rzetelnie przestrzegać. Oto kilka zaleceń z powyższego pisma: (pisownia dawna) *"By czuwano nad tem, aby miary były rzetelne a ceny umiarkowane a nie dowolne. Garnce żeby duże były, w któryby kwart 4 było, gdyż małe, ledwo po 3 kwarty w nich. Piwo, ponieważ zboże w małą cenę upadło, żeby już garniec sprawiedliwy był (...) czego urząd ma dojrzeć a niesprawiedliwych karać. Żyto po zł. 2 gr. 24, pszenica zł. 3 gr. 6, chleb pszenny za grosz funt jeden, żytniego pięknego pytlowanego za 1 gr. 1 ½ funta, razowego dobrze wypieczonego za grosz funtów dwa. Mięso karmnego wołu dobrego za zł. 5, chudego za zł 3 gr. 15, łoju kamień nie sfalszowanego zł 4, topionego po zł 5. Wina dobrego garniec 2 zł gr. 20, podlejszego po zł. 2. Miód niezwarzony, by garniec nie był droższy nad gr. 12. Piwo dobre, garniec po gr. 3, gorzałka dobra, przepalona i przednia, kwarta po gr. 15. Buty chłopskie jałowicze zł. 2, ordynanskie, czarne zł. 1 gr. 15, białogłowskie zł. 1 gr. 10. Kozuch dobry zł. 6. Wszelkie półmiarki, miski, półmiski, miarki, garnce, półgarncówki, kwarty,*

półkwatarki, miary, wagi, aby wszędzie były pod cechą miejską. Achtele, półachtelki piwne i miodowe na garnce 65, inaczej majstrowie utracie rzemiosła podlegać będą... ktoby ...w jakimkolwiek punkcie kontrowersyje czynił, więzienie i winę grzywien 10 nieodpustnych... na dobro pospolite będzie podpadał".

Targi zostały rychło ujęte w karby przez włodarzy miasta. Urząd miejski pobierał opłaty, w zamian za co kupcy korzystali z ochrony gwarantującej porządek i bezpieczeństwo handlu. Przedmiotem handlu były: Zboża, chmiel, bydło, konie, wszelka żywność, skóry zwierząt – końskie, bydłace, cielące, owcze, jagnięce, koźle, bobrowe, kunie, wydrze, wilcze, sól, śledzie solone, mięso, szynki, boczki, łój, tran, mąka, chleb, piwo, wino, olej, miód, воск, wełna, sukno flandryjskie, płótno, nici, narzędzia i sprzęt domowy, drewno, smoła, popiół, żelazo, miedź, cyna, ołów itp.

Całe starostwo podzielone było na klucze. Do klucza Dublany należały wsie: Ożimina, Prusy, Byków, Dorożów, Bilina, Hortynice, Załuże, Litynia, Hruszów, Bronica, Tatary, Łuzek, Jakubowska Wola. Po roku 1772, dobra te przejął Rząd Austryacki. (pisownia oryginalna)¹.

Oto nieco danych statystycznych, wypisanych z V Rocznika z 1880 r., zeszyt 2.

Powierzchnia powiatu: 45 932 ha. – rola, 17 597 ha. – łąki, 1 376 ha. – ogrody, 10 424 ha - pastwiska, 13 518 ha. – lasy, 192 ha – jeziora, moczary, stawy, 3 369 ha – inne. Razem – 92 408 ha.

Pogłowie koni – 16 314 szt., bydła rogatego – 32 833 szt., owiec – 1 313 szt., świń – 10 894 szt. oraz 1 500 – uli pszczelich. Mężczyzn – 39 510, kobiet – 39 706. 22 741 – katolicy, 48 275 – greko-katolicy, 7856 – izraelici, 344 – inne wyznania. Na 100 osób – 10 umiało czytać i pisać.

Najczęściej używanymi językami były: polski, rusiński, niemiecki, hebrajski i inne².

Wyszukane ciekawostki historyczne: *„Dnia 16 października 1620 r. po klęsce Żółkiewskiego pod Cecorą, wojska tatarskie spaliły kilka chałup w Kulczycach. W 1687 r. po Bożem Ciele (pisownia dawna) były mrozy tak wielkie, że aż sady pomarzęły. W 1688 r. 29 czerwca wylał Dniestr i wyrządził znaczne szkody. W 1690 r. przed świętem Ścięcia św. Jana Chrzyciela, szła szarańcza tak gęsto, że zakryła obłoki. A szła z północy, ale wprzód padła na ziemię, że było jej do kolan i w przeciągu czterech tygodni zniszczyła plon wszystek”.*

11 czerwca 1700 r. ponownie wylał Dniestr i jego dopływy. Woda napływająca z gór niosła zwłoki ludzkie, bydło potopione, chałupy rozbite. Od sierpnia 1705 r. do lutego 1706 r., morowe powietrze pochłonęło tysiące istnień ludzkich.

Przeczytajmy jeszcze jak inny, nieznanymi z nazwiska kronikarz opisuje atak szarańczy z 1748 r.: *„Szarańcza z Turek, czyli z Wołoszczyzny wyleciała na Ukrainę w niezmiernej liczbie, a potem się wysypała na całą Polskę, Litwę i prawie na całą Europę, gdyż o niej donoszono z Prus, Saksonii i innych różnych*

¹ O dobrach, *Regestrum privilegiorum capitaneayus, rocznik*, Lwów 1870 r.

² Wypis z V Rocznika z 1880 r., zeszyt 2.

państw niemieckich, żaląc się zewsząd na wielkie szkody przez nią poczynione. Na Ukrainie sprawiła głód, przybywszy tam na wiosnę i pożarłszy zboża jeszcze zielone; w niedostatku lud popospolity żywił się żołądźmi i pąkowiec drzew, ususzonym i wraz zmielonym. Pomykają się coraz dalej w Polskę, nie tak szkodzą zbożom już dostającym, jak tym, które jeszcze napadła zielone, łąkom, ogrodom, mając większy apetyt do świeżej zieleniny niż do suchej słomy. Ciągnęła niezmiernymi tłumami na kilka mil w szerz i dłużej tak gęsto, iż cmiła słońce na kształt chmury, Tumany te straszne postępowały jedne po drugich, w przedziale dni kilku. Gdzie zapadła na popas, który regularnie odprawiała po południu, bawiąc najwięcej parę godzin, tam była mniejsza szkoda. Gdzie na noc zapadała, tam nierównie większa. Z noclegu nie ruszała się, aż po opadnięciu rosy. Padła grubo na ziemię na pół łokcia, nie żeby tak w kłębie leżała jedna na drugiej, ale niskim podlotem jedna przez drugą przeskakując. Na noclegach rozciągała się cienie, przykrywała jednak ziemię dwiema lub trzema warstwami siadając jedna na drugiej. Zapadając na popas lub nocleg nie psuła porządku lotu dla wyboru miejsca spoczynku, ale tam gdzie się, której dostało, padła na pola, na domy, na ogrody, na rzeki i stawy, w których tonęła. Na kształt wojska miała przednią straż i odwód, w których była rzadsza od korpusu. Ten wzbijał się w górę swoim wierzchem na 50 łokci, a spodem dotykał samej ziemi czyniąc bryłę gęstą, okiem ni przejrzaną. Ślepym lotem dla swojej gęstości uderzała w to wszystko, z czym się potykała, podróżny musiał przed nią chronić oka, jak przed gradem, gdy jest w oczy. Konie broniły się swoim ustawicznym łbów kiwaniem. Trzeszczała pod stopami i kołami jak śnieg zmrożony. Z boków jej na stanowiskach ziemię okrywających wychodził fetor, lecz nieszkodliwy. Trzoda jadła ją chciwie i pasła się nią (nie masz złego by na dobre nie wyszło). Pod jesień, gdy tej szarańczy brakło na lepszym pożywieniu, obgryzała snopki na dachach i rżyska w polach. Postrzegłszy ją ludzie zabiegali jej z kosami, siekaczami i różnymi brzękadłami tudzież z ruśnicami, brzękaniem, strzelaniem i krzykiem odwracając ją od swoich pól w inną stronę, – co tylko wówczas służyło, gdy w czas zabieżono lub gdy nie z daleka ruszyła. Jeśli nie wczas albo już była zmordowana, padła nie zważając na żaden hałas. Na zimy zapuszczała ikry w ziemię w gruntach piaszczystych; stara zdychała. Ciekawi wykopawszy takie zarody, liczyli w jednym pęcherzyku po 150 ikier. Młoda szarańcza wychodziła z ziemi w maju. Póki jej skrzydła nie odrosły, pomykała się skokiem koników z miejsca na miejsce. Póki, więc nie dowiedzieli się ludzie, skąd się wzięła ta młodsza szarańcza, brali ją za piechotę owej pierwszej lotnej niby konnicy. Po odrośnięciu skrzydeł ulatywała sposobem pierwszej. Dwa sposoby były do gubienia młodej przed nabyciem skrzydeł: jeden, potrząsając te stada słomą i paląc; drugi kopiąc długie rowy i napędzoną w nie szarańczę ziemią przysypując. Mimo jednak te sposoby, mnogości nie równe, znajdowała się w Polsce po wielu miejscach aż do roku 1750, w którym wyginęła, to jest przez lat trzy, to już niszczone ludzkimi sposobami, już nie wygodnym do swej natury polskim krajem. W ziemi jednak wschowskiej, w suche piaski i gorące dostatniej, widziałem ją jeszcze w kilku miejscach okrywającą i psującą zboża w roku 1785. Kształt tego robactwa z Turek czy z Wołoszczyzny w Polsce zjawionego, był kształtem konika polnego, cicada po łacinie zwanego; długości calów 3, miąższości ½ cala, nóg 6, skrzydeł po każdej stronie 4, prążkami i kropkami na kształt liter greckich

cętkowanych, z których dziadowie i biegasi (włóczęgi) ludowi prostemu dla wyludzenia obfitszej jałmużny rozmaite nieszczęścia wyczytywali. Kolor z wierzchu ciemnoszary, spodem jaśniejszy. W pyszczku 8 zębów ostrych. Oczki małe czarne. Zrodzona w Polsce była mniejsza, koloru i kształtu jednakowego z pierwszą". (Pisownia dawna).

Już w 1790 r. w Samborze pracowała drukarnia. W 1830 r. produkowano proch strzelniczy, istniała fabryka obrusów, browar, gorzelnia, wytwórnia spirytusu i likieru. Pracował młyn, a w nim stępa na jagły i piły do rzezania tarcic. Zbudowano wielkie piwnice, jako składy win sprowadzanych z Węgier. Cesarz Austrii Franciszek Józef 17 kwietnia 1848 roku nadał chłopom całą posiadaną ziemię. Dziedzicom obiecał wypłacić odszkodowanie w złotych reńskich ze skarbu państwa. Wieś stała się włościańską i pańską. Chłopi otrzymywali na własność obszarowo małe karłowate działki, które nie zapewniały dostatniego bytu. Na domiar złego między 1845 a 1856 rokiem spadły na te tereny epidemie chorób, klęski nieurodzaju i powodzie. Chociaż austriackie władze brały stronę dworu w sporach wsi z dziedzicem, chłopi pamiętali, że uwolnił ich cesarski patent i spodziewali się dalszej pomocy z Wiednia. Po wojnach napoleońskich tereny te stały się ponownie prowincją austriacką. Rządy sprawował gubernator i jego skorumpowana świta. Szlachta tutejsza popierała ten system, bowiem tylko z jego pomocą mogła panować nad kmieciem polskim i ukraińskim. Chłop obarczony został wysokim podatkiem i pracą we dworze. Dwór był sędzią, policjantem (miał prawo wymierzania chłosty) i co najważniejsze, dawał wielką liczbę rekruta dla cesarskiej armii (służba trwała wtedy czternaście lat, a poborowych brano wtedy od 19 do 29 roku życia). Także kościół katolicki pozostawał potężnym sprzymierzeńcem zaborcy. Znaczniejsze urzędy i probostwa obsadzał Niemcami lub lojalnymi Czechami. Kler również wyzyskiwał chłopów. Ściągał dziesięcinę snopową od zboża w polu, zmuszał do odrabiania pańszczyzny (budowa i naprawa kościołów i in.), a często też do uprawy ziemi. Przez ambonę i szkoły szerzył lojalizm wobec zaborcy. Dlatego niezadowolenie doprowadziło do chłopskiego wrzenia i „rabacji” w 1846 roku. Rząd austriacki po stłumieniu tych wystąpień wprowadził ulgi w świadczeniu podwód i zmniejszeniu dni pańszczyźnianych. By osłabić protesty chłopskie Austriacy na wniosek „świętojurców” (partia nazwana od unickiej katedry św. Jura we Lwowie) podzielili Galicję na dwie prowincje: polską i ukraińską. Kler grecko – katolicki powołał nawet Rusku Hołownuju Radu (Ruską Radę Główną). Rząd austriacki szantażował polskich polityków i zbywał obietnicami. We Lwowie powstała konkurencyjna organizacja Sobór Ruski, pragnąca „zgody z Polakami”, a jej uczestnikami byli inteligeni polscy ukraińskiego pochodzenia i arystokraci mający majątki na wschodzie, ale nie uzyskał poparcia mas ukraińskich. W Pradze, w czerwcu 1848 roku za pośrednictwem Czechów, wysłańcy zwaśnionych stron podpisali układ polsko - ukraiński o pełnym równouprawnieniu obu narodów. Ukraińcy zgodzili się odłożyć sprawę podziału Galicji na dwie prowincje do czasu obrad sejmu prowincjonalnego. Układ ten nie został uznany przez w/w organizacje i tylko spotęgował nienawiść narodową. Jedyną korzyścią tych tarć było uwłaszczenie chłopów, o którym wyżej wspominałem. Uwłaszczenie prowadzono przez prawie 10 lat i zachowano własność folwarczną.

Na początku XX w. Sambor rozbudowuje się. Wymienić należy: ratusz miejski, kościoły (polski i ukraiński), kino, centrum handlowe z promenadą, seminarium nauczycielskie i salę koncertową. Wymienię jeszcze Towarzystwo Strzeleckie „Sokół”, które działało pod znaczącym hasłem: „Hartuj ciało, hartuj ducha bo świat tylko silnych słucha”! W 1818 r. rozpoczęto osuszanie moczarów. Z okazji wizytacji kanonicznej biskupa Ksawerego Wierzchlewskiego w 1846 r. zapisano *"Do parafii Dublany należały: Kranzberg – 262 dusze, Kornalowice – 178 dusz, Oleksięta – 181 dusz i Ożmina – 4 dusze"*. W 1862 r. w powiecie przeszło straszne gradobicie i spowodowało nieobliczalne szkody.

Pod koniec I wojny światowej, w ostatnich dniach sierpnia 1918 roku, ponoszą klęskę państwa centralne i następuje ich kapitulacja. Abdykują panujące rody Romanowych, Habsburgów i Hohenzollernów. Po 123 latach niewoli na dalszy plan zepchnięte zostają troski i dolegliwości, pod którymi uginał się nasz naród. Entuzjazm pierwszych dni niepodległości nie złagodził biedy, głodu, braku pracy, rozproszenia rodzin troski o niepewne jutro. Jaka będzie ta Polska? Teraz jest wolna, a jaka będzie naprawdę? Nie tylko w sensie politycznym, ale i geograficznym.

25.04.1920 roku Piłsudski rozpoczyna „wyprawę kijowską”. Z wojskami polskimi szły oddziały atamana Semena Petlury, który miał nadzieję na objęcie rządów na Ukrainie w/g układu z 21 kwietnia 1920 roku. Oczekiwania Petlury nie ziściły się. Na początku czerwca oddziały Budionnego i Michała Tuchaczewskiego przepędziły Polaków aż pod Warszawę. W tym czasie toczyły się już rozmowy rosyjsko – niemieckie w sprawie powrotu do granicy sprzed 1914 roku. W trosce o dalszy, niepodległy byt naszego narodu wzrastają zasoby Funduszu Obrony Państwa i notuje się wzmożony napływ ochotników do Armii Polskiej. Po krwawej bitwie 15 sierpnia na przedpolach Warszawy, wojska sowieckie przechodzą do odwrotu i ponoszą drugą klęskę nad Niemnem (20 – 28 września). Po walkach polsko – ukraińskich o Lwów wzmożła się wrogość między zwaśnionymi narodami.

W tym czasie właśnie Ukraińcy napisali „kodeks Ukraińca”, a jego przykazania brzmiały:

- 1. Jedna, jedyna niepodzielna od Karpat po Kaukaz, wolna, demokratyczna Ukraina.*
- 2. Wszyscy ludzie są twoimi braćmi, lecz Moskale, Lachy, Madziary, Rumuni i Żydzi – to wrogowie naszego narodu.*
- 3. Ukraina dla Ukraińców. Przeto wypędź stąd z Ukrainy cudzoziemców – gnębicielei.*
- 4. Nie bierz sobie żony z cudzoziemców, bo twoje dzieci staną się twoimi wrogami. Nie utrzymuj kontaktów z gnębicielami, albowiem zdrajcą będziesz.*

Po zakończeniu wojny polsko – bolszewickiej dawniejsza Galicja wschodnia a późniejsza Małopolska Wschodnia, znalazła się w granicach II Rzeczypospolitej i przepadły nadzieje na „Samostijnuju Ukrainu”. Dlaczego wymieniam tyle historycznych faktów? Chcę nieco przybliżyć przyczynę i podłoże skłócenia narodu polskiego i ukraińskiego, podkreślić winę i wpływ polityki austriackiej i polskiej na późniejsze krwawe zdarzenia! W zaborze austriackim następuje

kolonizacja niemiecka. Podupadłe folwarki, ziemie zniesionych klasztorów, pustkowie, zbędne łąki i moczary, karczowiska, chaszczce i ziemie położone między lasami, zajmowali osadnicy z obcych krajów, do których dołączali inni. W ten sposób powstawały dość ludne wsie, podobnie jak na przykład Kranzberg przy Dublanach. (Podobnie, jak teraz: najlepsze ziemie Polski są w rękach Niemców, Holendrów, Duńczyków i innych nacji). Także późniejsze uchwały (1920, 1925) nie doprowadziły do zaspokojenia chłopskiego głodu ziemi.

3 DUBLANY

Nigdy nie zapomniałem rodzinnej wsi, w której zostało kilka lat mojego dzieciństwa. Dublany, to duża wieś. Wzdłuż głównej drogi ma około czterech kilometrów (z przysiółkami ponad siedem km). Przed 1939 rokiem liczyła około cztery tysiące mieszkańców. Istniało prawie tysiąc budynków. Przez wieś przebiega linia kolejowa ze Lwowa do Sambora, dalej w kierunku południowo-wschodnim do Drohobycza. Z Sambora do Drohobycza prowadzi też szeroki gościniec³ wyłożony starannie granitową kostką. Przez wieś płyną dwa potoki i lewy dopływ Bystrzycy – Weretyna (dawniej Warytyna). Płyną one z Kulczyc przez Dublany, Tatary i wpadają do Dniestru.

Pola uprawne, łąki i pastwiska zajmowały około 2 100 ha. A same pastwiska ponad 500 ha. Pola miały swoje nazwy: Na Skosach, Korytwina, Za Putim, Błonie i in. Nazwy lasów to: Osikowiec, Dąbrówka. A łąki to: Czeremosze, Nowy Staw, Wygon na Horyniu i Wygon na Zawadce, Na Poddaństwie, Za Struga, Skosy, Zady, Mohyła.

Rocznik statystyczny Galicji (wg dawnej pisowni) z roku 1877 mówi, że w rolnictwie pracowało wówczas 77,14% mieszkańców, 0,16% w górnictwie, 7,1 % w przemyśle, 2,53 % w handlu, 0,37 % w komunikacji, 4,39 % to: urzędnicy, nauczyciele, duchowni i zakłady publiczne; 0,34 % to: adwokaci, notariusze, inżynierowie, lekarze. Średnia umieralność: 37,6 osób na 1000 mieszkańców. Czytelnika zdziwi zapewne wzmianka o górnictwie. Od XVIII w. w Sprynce ważono sól, w Drohobyczu воск ziemny. W Borysławiu nad Tymienicą wydobywało i wydobywa się do dziś ropę naftową i gaz.

Zygmunt Kaczkowski (w książce *Mąż szalony*) tak pisze:

„Miasto Sambor położone w ziemi ruskiej, powiecie przemyskim, a składające się z trzech miast, krain siedmiu i stu trzydziestu dwóch wsi naokoło, z ogromnymi solnymi żupami, które osiemnaście tysięcy beczek soli rokrocznie dawało, stanowiło wtenczas, tak jak i dziś stanowi, ekonomię królewską, z której król kilkakroć sto tysięcy złotych, co rok wyciągał.; co atoli dzisiaj już nie jest, a wtenczas było, toto, że ekonomem tej królewszczyzny był jw. Mniszech, marszałek nadworny koronny, który wprawdzie tam sam nigdy nie

³ Gościniec – utwardzona droga.

gospodarował, jeno zawsze kogoś ze swego ramienia tam wyselał i tytuł starosty dla niego zawsze u króla wyrabiał".(Było to około 1728 r.).

Dawniej ulice i dzielnice wsi nie miały nazw, więc mieszkańcy poszczególne części wsi nazwali sami od nazwisk, szczególnych zdarzeń albo położenia. Więc: Kończaki, Kleszczów, Boguckie Mostki⁴, Mohyła, Pogorzelsko⁵, Zady, Poddaństwo, Horyń, Na Dole⁶, Debryki (albo po prostu Debryk), Stawiska, Zawadka, Kranzberg i inne. Trzy czwarte mieszkańców Dublan stanowili Polacy, reszta to Ukraińcy, Niemcy, Żydzi, Węgrzy i na pewno obywatele innych narodowości. Niemcy, to osadnicy, czyli koloniści, mieszkali w dzielnicy zwanej „Kranzberg”. Ich gospodarstwa to duże, murowane ładne domy, budynki gospodarcze i własna szkoła. Mieszkał tam m. in. Schwartz, Schneider, Bissinger, Moss, Szpanier, Freimont, Schumacher, Holeczko, Wacinkiewicz, Fogt, i inni. Ludzie ci żyli w zgodzie z pozostałymi mieszkańcami, a często nawet pomagali przetrwać zimę biedniejszym, wspomagając ich na przednówku ziarnem lub ziemniakami. Żydzi, to ludzie interesu: Kolb Isaak - składy drewna budowlanego. Tam ręcznymi piłami przecierano dłużycę (kloce) na deski, brusy i belki. Drzewo przecierano ręcznymi piłami. Na początku lat dwudziestych powstały traki wodne, a wkrótce parowe; *Gidal* – karczma; *Sztulbach* – sklep; *Stelcer* - felczer. Węgierscy Żydzi osiedli tu po pierwszej wojnie: Laufer, Boruch, „długi” Herszko (Hirsch), Sender, "Smarkaty Josio", Szlomko (Szlojme). Chodorow przybył z Ukrainy, gdzie przedtem miał własny tartak.

Wiele nazwisk i imion często się powtarzało, dlatego prawie każdy mieszkaniec miał przydomk. Zazwyczaj przylegało ono do nazywanego od jakiejś przywary natury, charakteru, mowy czy zdarzenia. Wymienię tu kilka: Baran – uparty, Bałabuch – babcia piekła pączki i mówiła „napięłam bałabuchów” (pączków); Bolibrzuch – chronicznie bolał go brzuch; Chrumpyk – chrząstka? (chrząstka - międzykostna, anatomiczna część człowieka); Ćiańcilala, – jako dziecko był bardzo urodziwy, jak laleczka; Ćwoczyk – ćwok, gwóźdź; Czyrupyk - czerep⁷; Długi Herszko (imię żydowskie – wysoki i chudy); Hykalik – „hykał się” - jękał się; Hryc – po prostu Grzegorz; Jacek – imię dziadka przeszło na dzieci jako przydomk; Kaczeczka – kaczy chód spowodowany chorobą Heinego – Medina; Gorączka – niecierpliw, narwany; Rudy Karmelita – od koloru włosów; Kułak, (garść siewki, garść siana - takimi porcjami jego babcia karmiła swoje bydło - chudobę); Lorenc- ?; Mały Józio – bardzo mały; Smarkaty Josio; Pierdziała; Purcel -?; Mucyk - imię psa; Mykolko – po polsku Mikołaj; Mantyla – po ukraińsku, *mantyło* – złoto; Pampuszek – pączek; Podpanek – nie lubił brudzić sobie rąk pracą. Sobko – samolub, tylko dla siebie; Srocza - plotkara; Tygier – w czasie wojny matka z synami „pędziła” samogon w takich ilościach, że stali się konkurencyjni dla właściciela gorzelni w Samborze o nazwisku Tygier; Zachapajko – zachłanny, pracowity, ponad miarę zapobiegliwy; Szemelak -

⁴ Boguckie Mostki – mostki wybudowane przez rodzinę Boguckich.

⁵ Pogorzelsko - tę część wsi w 1912 r. strawił pożar (spłonęło wówczas ok. 500 budynków).

⁶ Na Dole - ta część wsi leżała najniżej.

⁷ Czyrupyk – czerep, stare zniszczone naczynie.

mówiąc, wtrącał powiedzenie: „więc kurwa dziada” (słyszałem to na własne uszy).

Największa i wyżej położona część wsi to Horyń (od ukraińskiego słowa *hora gora* - wysoka góra). Wg map leży 313 m n.p.m. Z Horynia widać było sąsiednie wioski: Nowoszyce i Prusy, a w pogodne dni daleko na południu ośnieżone szczyty Karpat.

Katolicki kościół parafialny⁸ pw. św. Mikołaja stał na Horyniu. Murowany w stylu neogotyckim, ze szpiczastą sześciopłociovą wieżą, pokrytą miedzianą blachą. Na szczycie wieży widniał wysoki metalowy krzyż. W ołtarzu głównym wizerunek św. Mikołaja i duży drewniany krzyż z postacią Chrystusa Ukrzyżowanego. Mikołaj obchodził imieniny szóstego grudnia, o czym do dziś pamiętają szczególnie dzieci. A w Dublanach był to dzień odpustu. Były tam również trzy ołtarze boczne: Jeden z figurą Matki Boskiej Bolesnej; drugi Matki Boskiej Różańcowej (również obchodzony był z tej okazji odpust, zawsze w pierwszą niedzielę października); trzeci, naprzeciwko ambony z obrazem Serca Jezusowego. Po lewej stronie, przy ścianie stała ambona (kazalnica). W oknach umieszczono witraże przedstawiające czterech ewangelistów. Przy wejściu, w kościele stały figury: z jednej strony św. Piotra, a z drugiej św. Pawła. Kościół posiadał organy. Przez długi czas organistą był Franciszek Towarnicki. W małej wieżyczce na dachu kościoła zawieszony był dzwon „sygnaturka”. Dzwonił w chwili, gdy kapłan wychodził do ołtarza. Przed kościołem znajdowała się wolnostojąca, piętrowa dzwonnica z czterema dzwonami. Każdy innej wielkości: dwa większe niżej, mniejsze wyżej. W czasie mszy św. przed balaskami, na podwyższeniu, w ozdobnych ławach zajmowali miejsca: wójt i inni obywatele piastujący urzędy państwowe, dziedzic z rodziną i co zaciejsi gospodarze. Same balaski, zrobione były z ładnie wytoczonych tralek i pulpitu, który na czas komunii ministrant nakrywał białą kapą.

Po wyzwoleniu Dublan i utworzeniu Ukraińskiej Republiki Sowieckiej, kościół przez pewien czas służył jako magazyn. Następnie jako stajnia dla koni. A Ukrainiec, późniejszy dyrektor powojennej dublańskiej szkoły, zapiekły komunista, wielki wróg katolicyzmu i katolików, przyczynił się wydatnie do jego zburzenia. Zerwano blachę z dachu a wojsko minami wysadziło mury. Trzy dzwony zabrali Niemcy, czwarty i sygnaturka dzwoniły jeszcze do końca wojny. W 1944 roku zabrali je Rosjanie, kiedy ponownie tu wkroczyli. Dzwonnice przewrócili czołgiem w uprzednio wykopany dół i zasypali ziemią.

Od głównego gościńca obok kościoła w kierunku dzielnicy "Zady", (wzdłuż parafialnego pola przez Dąbrówkę) biegła dróżka, która nazywała się „Za Putim”. Oddzielała ona plac kościelny od katolickiego cmentarza. Za cmentarzem stała odnowiona szkoła. Na cmentarzu stoi do dziś kształtna kapliczka. Po przeróbce służy teraz, jako kościół katolicki. W jej podziemiach znajdują się prochy zmarłych, dawniejszych zasłużonych dla Dublan osób. Po prawej stronie kościoła, piętrowa plebania. Za plebanią i kościołem, pole parafialne. Najbliżej plebanii sad, dalej łąka, pole uprawne, znowu podmokła łąka i las „Dąbrówka”,

⁸ Parafia Dublany należała do diecezji przemyskiej, archidiecezji lwowskiej.

dochodzący aż do granicy z Hordynią. Zagroda i pole były własnością parafii, ale pod zarządem proboszcza. Ksiądz, jak i inni gospodarze wsi hodował konie, bydło i trzodę. Do pracy na plebani zatrudniana była gospodyni, a w gospodarstwie i na polu pracował parobek. Naprzeciwko kościoła i plebani było obszerne siedlisko z parafialnymi budynkami gospodarczymi - dwie duże stodoły i obora.

Przy drogach i przy ich skrzyżowaniach stały kapliczki z figurą Matki Boskiej Częstochowskiej lub postacią św. Mikołaja. Religijność w naszej mentalności miała dominujące znaczenie. Wspomnę jeszcze o tym w dalszej części. Istniał też trzeci, stary i już zamknięty cmentarz nazywany „cholerycznym”, na którym grzebani byli zmarli po epidemii cholery.

Wymienię tu nazwiska niektórych księży, których zapamiętali starsi mieszkańcy: Kędzior – dziekan; Wojciech Litwin – przed wojną i za Rosjan jako proboszcz (mówił zawsze "moje dziecieczki"); ks. Koncki, Adam Fuksa, Piotr Szczupiel. Pochodził z okolic Rzeszowa i urodził się 29 czerwca 1908 r. Przed wojną uczył katechizmu w samborskich szkołach. Był bardzo lubiany przez dzieci i młodzież. Kiedy Rosjanie (1939 r.) zabronili katechizacji w szkołach, mieszkańcy Dublan zaproponowali mu pobyt we wsi i tu został wikarym.

Wspomnę jeszcze, że na parterze budynku plebanii znajdował się wówczas mały szpital sowiecki. To tragiczne i szokujące dla mieszkańców zdarzenie miało miejsce 29 czerwca 1941 r. w dzień Piotra i Pawła. W kilka dni po napaści Niemiec na Związek Sowiecki w pobliżu plebanii okopali się Rosjanie. W tym samym czasie od strony dworca, na koniu jechał rosyjski oficer a od strony Kornalowic nadjechali Niemcy na trzech motocyklach z przyczepami. W jednej przyczepie jechał cywil, Ukrainiec (inni twierdzą, że Niemiec z Kranzbergu), ubrany w jasny kaftan. Rosyjski oficer na koniu przejeżdżał przez drewniany mostek. Niemcy w tym momencie oddali kilka strzałów w jego kierunku. Został ciężko ranny i spadł z konia. Jeszcze zdażył wczołgać się pod ów mostek i za chwilę skonał. Rosjanie wpadli we wściekłość i zaczęli szukać sprawców, bez powodu przeczesać okoliczne mieszkania. Z domów wyprowadzali mężczyzn i zabijali. Kilku skośnookich żołnierzy wpadło też na plebanie do jadalni, gdzie było kilkoro zatrwożonych zbliżającym się frontem ludzi. Między innymi nasi dwaj księża, dwie służące oraz Zofia Stanowska z Sambora, personel szpitala z doktorem Wohlmanem - lekarzem rosyjskiego szpitala. Rosjanie twierdzili uparcie, że z plebani padł strzał. Wyprowadzili wszystkich na dziedziniec. Obydwu księży i doktora postawili pod ścianę szkoły i natychmiast chcieli rozstrzelać. Wówczas odwrócił się dr Wohlman i powiedział: „czego od nas chcecie, przecież my pracujemy w waszym szpitalu”. Byliśmy tu wszyscy razem, by pilnować szpitala i jego wyposażenia przed zniszczeniem. Stąd nikt nie strzelał. Wtedy Rosjanie jakby dali się przekonać, ale nie do końca i pozwolili im odejść. Dzień był upalny i księża byli tylko w koszulach. Ksiądz Szczupiel poszedł do swojej izby, ubrał jasną bluzę i z proboszczem zamierzali odwiedzić nauczyciela Jana Konckiego, który ponownie wrócił do Dublan i zamierzał tu dalej pracować (przedtem wyjechał w obawie przed Rosjanami). W tym czasie patrol ów wrócił i Rosjanie zaczęli ponownie przypatrywać się wszystkim

uważnie. Ujrawszy ks. Szczupielę w jasnym stroju stwierdzili, że jego tu przedtem nie było. Że to ten w białym kitlu jechał na motocyklu. Obecni na plebani tłumaczyli, że to ten sam człowiek, który przed chwilą na dziedzińcu szkolnym stał pod ścianą. Rosjanie tym razem nie dali się przekonać, wyprowadzili go przed szkołę i w brutalny sposób uśmiercili trzema strzałami w tył głowy. Ksiądz upadł na twarz. Następnie wrzucili go do dołu z lasowanym wapnem, które go wchłonęło. Żołnierze rosyjscy strzelali do wyglądających z ukrycia, uciekających lub starających się ukryć. Zginęło wtedy szesnastu niewinnych ludzi. Między innymi Grzegorz Fedak – Ukrainiec, ojciec Katarzyny Jurkowskiej (z domu Fedak, urodzona w 1913 r., zmarła w 2008r.), który uciekał wtedy i schował się w oborze pod żłobem. Franciszek Szramiak i młode małżeństwo, którego nazwiska już chyba nikt nie pamięta. Dla wszystkich mieszkańców było to przerażające i szokujące zdarzenie⁹. Na dworcu stał eszelon wojskowy rosyjskich żołnierzy. Kiedy zginął ów oficer, z dworca natychmiast ruszył pościg za Niemcami. Rosjanie zastrzelili czterech motocyklistów niemieckich, a pozostałych czterech wzięli do niewoli i po przesłuchaniu rozstrzelali koło zagrody Szczepańskiego.

Kapłan na wsi to osoba powszechnie poważana i szanowana. Wszyscy witając go chwalili Imię Boże, a dzieci z szacunkiem całowały w rękę. Ksiądz Szczupiel został pogrzebany na miejscowym cmentarzu. W pogrzebie wzięli udział księża i młodzież z Sambora, przyjaciele oraz parafianie. Matka jego przyjechała dopiero po przejściu frontu. Opowiadała kobietom, jak to starszemu synowi - bratu Piotra - jego śmierć się wyśniła. Ekshumowała zwłoki syna, zabrała jego drobne rzeczy i wróciła do swojej miejscowości. Także kapłani z Sambora odprawili mszę św. w jego intencji.

Muszę wspomnieć o jeszcze jednym kapłanie wywodzącym się z Dublan - Piotrze Szkolnickim. Urodził się 10 czerwca 1918 roku z Jana i Marii Dmytryk. Cztery klasy szkoły powszechnej ukończył w Dublanach. Gimnazjum klasyczne z językiem łacińskim, greckim i niemieckim w Samborze. Maturę zdał w 1931r. Następnie ukończył dwuletnie studia teologiczne w Przemyślu i czteroletnie seminarium w Brzozowie. Tu też w 1942 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Przez okres okupacji aż do rozwiązania AK pełnił obowiązki kapelana oddziałów dywersyjnych, walczących w lasach w okolicach Roleszawy i Żółkwi. A oficjalnie posługiwał w parafii Kosino. Brał czynny udział w wielu akcjach z partyzantami. 21 Marca 1943 r. uczestniczył w zniszczeniu mostu kolejowego w Rogoźnie. W kwietniu tego roku brał również udział w odbiciu żołnierzy AK więzionych na posterunku w Żołyni. Prowadził lekcje religii w szkole podstawowej. W pierwszych powojennych wyborach do Sejmu nie pozwolono mu głosować. Na liście wyborczej wpisane miał "wywrotowiec". Po wojnie za przekonania antysowieckie i kazania patriotyczne wielokrotnie sądzony w Jaśle, Sanoku, Rzeszowie i Warszawie. Kilkakrotnie skazywany, odsiadywał wyroki w Rzeszowie i Kamieńsku k. Bartoszy, w więzieniu dla recydywistów. Zmarł w sierpniu 1993 r.¹⁰.

⁹ Historia śmierci ks. Szczupielę to relacja Józefa Wierzbickiego – krewnego proboszcza W. Litwina.

¹⁰ Historię o ks. Szkolnickim spisałem z relacji Zdzisława Domino.

Cerkiew prawosławna stała w innym miejscu, przy gościńcu „Na Dole”. Była już stara, zbudowana z drewna. Obok zagroda popa i jego łąki, aż po błonia, nazywane popowszczyzną. Ostatni zapamiętany pop nazywał się Polański (jego córka miała na imię Sonka). Niedaleko cerkwi było źródło, stamtąd strumyczkiem woda płynęła do Weretyny. Obok cerkwi, za owym gościńcem, cmentarz prawosławny. Za cerkwią, w kierunku na „Boguckie Mostki” stała zbudowana z drewna, żydowska synagoga (potocznie nazywana bożnicą) pokryta blachą. Okna przesłaniały drewniane okiennice. Żydów w sobotę obowiązywał szabas¹¹. W tym dniu Żydzi zazwyczaj najmowali kobiety wiejskie do posług i prac domowych. One nieciły ogień pod kuchnią, podawały na stół ich koszerne potrawy i wykonywały wszystkie konieczne czynności, ponieważ ich prawo tego dnia zabraniało wszelkich prac fizycznych. Tradycyjną potrawą szabasową była maca (pieczywo z białej pszennej mąki) i „cymes” (słodka potrawa podobna do budyniu). Do koszernego zabijania i ćwiartowania zwierząt mieli swoich rzeźników, gdyż koszerne uboju należało dokonać dokładnie według ich przepisów i rytuału. W połowie września każdego roku przez kilka dni odprawiali modlitwy w specjalne zbudowanych szałasach. To święto namiotów - Sukot. Okres ich modlitwy mieszkańcy nazywali - „żydowskie kuczki”¹². W tym czasie prawie zawsze wieje wiatr, jest zimno albo pada deszcz. Żydzi ubierali się trochę inaczej niż pozostali mieszkańcy. Nosili charakterystyczne stroje - długie czarne chałaty, czapki - jarmułki lub mycki. Nosili długie brody i pejsy i zawsze śmierzdzili cebulą.

We wsi były trzy szkoły: „Nowa”, siedmioklasowa, obok kościoła. Tuż przed wojną nadbudowano piętro. Tu dzieci uczyły się języka polskiego, rachunków, przyrody, geografii, historii i języka ukraińskiego oraz prac rękodzielniczych. Dyrektorem był Juliusz Frey, człowiek bardzo aktywny. Miał dwoje dzieci: Urszulę i Zbigniewa. Zbigniew lubił pracować na roli i chciał być rolnikiem. Chłopiec ten bezinteresownie i z wielkim zapałem pomagał chłopom w pracach gospodarskich. Pan Frey prowadził z dziećmi różne zajęcia pozalekcyjne, teatrzyk dziecięcy, jasełka itp. Miał szczególny sposób wymierzania kary. Zazwyczaj pytał ile pierogów mama zrobiła, uderzał trzcinką¹³ w tyłek i liczył pierogi, jeden, dwa, trzy, pierogi itd. Przybył też tu, na Ziemi Zachodnie i pracował w szkole w Chlebówku koło Stargardu Szczecińskiego. Nauczycielami byli także: pani Zofia Frey (żona dyrektora), Jan Maciela, Kotówna, Sielecka, Mos, Mazurówna, Jan Szczepański i później nowy dyrektor - Kozak. W dawnych dokumentach spotkałem taki zapis: Dnia 15 lutego 1881 r. do szkoły filialnej okresowego nauczania nr2 w Dublanach, wpisany zostaje p. Jan Skoryk, pod warunkiem, że prowadzić będzie i pod każdym względem starannie wypełniać nauczanie obowiązkowe, zaaprobowane przez władze nauczycielskie. Władze zapewniają mu 200 zł pensji miesięcznej i stancję. Pracował dziewięć miesięcy. Przeciętna płaca nauczyciela wynosiła wówczas 300 zł. P. Skoryk wywodził się z rodziny nauczycieli, w której i dziad i ojciec byli „belframi”. Miał zwyczaj sadzenia drzew w miejscu gdzie pracował. Jesiony posadził w 1881 roku. Dawniej uczniowie

¹¹ Szabas – poprawnie szabat albo sabat – siódmy dzień tygodnia, dzień modlitwy i odpoczynku.

¹² Kuczka (kucza) - miejsce oddzielone i ogrodzone, żydowskie miejsce modlitwy.

¹³ Trzcinka („ścińka”) – mocny kawałek trzciny, kijek bambusowy lub drewniany.

klas pierwszych nie używali zeszytów do zapisywania lekcji. Do tego celu służyła łupkowa tabliczka (wykonana z czarnego minerału, oprawionego w drewnianą ramkę. Do pisania na niej służył rysik). Na jednej stronie tabliczki były linijki a na drugiej kratki (jak w dzisiejszych zeszytach). Na takiej tabliczce uczeń ćwiczył się w pisaniu i rachunkach. W domu miał obowiązek nauczyć się zapisanego tekstu (czasami na pamięć) lub odrobić zadaną pracę. Niepotrzebny już zapis ścierało się i tabliczka była gotowa do ponownego użycia. Języka ukraińskiego uczono gruntownie, na równi z językiem polskim. Obowiązkowe było czytanie utworów niektórych ukraińskich pisarzy - patriotów, np. Tarasa Szewczenki. Podam fragmenty trzech wierszy w języku ukraińskim, które dawni uczniowie dublańskiej szkoły do dziś jeszcze pamiętają¹⁴:

Jak umru, to pochowaitie mene na mohyli.

Seret stepu szerokoho, na Ukraini mili.

Szczob łany, szyroko poli i Dnipro i kruczi.

Buło wydno, buło czuty, jak rewe rewuczyj.

Pochowajte, ta wstawajte, kajdany porwijte

i wrażoju, złoju wolju okupijte.

I mene w sini wetykij, w sini wolnyj,

Ne zabudźte wspomianuty, ne złym tichym słowem.

Osiń.

Osiń, osiń, pozdno dnije, tylkie dribnyj doszczok sije.

Wede osiń, śyny chmary, ale zace daji dary.

Jabłok, hruszok połni michy.

Dity bihajut po poli, peczut sobi baraboli.

Starist'.

Starist', to ni radist" dity, mnogo treba wyterpyt.

Mnoho dumat', pracuwaty, treba stirszych szanowat

I jeszcze polski wiersz (spotykany też w innej wersji):

Na Podolu biały kamień, Podolanka siedzi na nim,

¹⁴ Treść tych wierszy podali mi: Ludwik Szkolnicki i Henryk Paliwoda.

*Siedzi na nim, wianek wije, z białej róży i lilijek.
Przyszedł do niej Podolaniec, Podolanko daj mi wieniec.
Dałabym ci wieniec dała, gdybym brata się nie bała.
Otruj brata rodzonego, będziesz miała mnie młodego.
Szła do sadu wiśniowego, wzięła węża jadowego.
Posiekała drobnusieńko, gotowała miękusieńko.
A brat jedzie od granicy, moja siostró pić mi się chce.
Poszła siostra do piwnicy i przyniosła pół szklanicy.
Już otrułam brata swego, będę miała cię młodego.
Jak otrułaś brata swego to otrujesz mnie młodego.*

Często śpiewana jest do dziś niezapomniana piosenka: "Hej sokoły"...

Wszyscy, z którymi rozmawiałem znali wiersz A. Mickiewicza uczony w szkole na pamięć "Powrót taty": *Tato nie wraca ranki i wieczory, we łzach go czekam i trwodze...*

Udało mi się odnaleźć jeszcze jeden wiersz, który recytowała moja mama, a którego pełna treść brzmi następująco:

*ABC chleba chce. Lecz i wiedzieć mi się godzi z czego też to chleb się rodzi.
DEF najpierw siew. Rolnik orze ziemię czarną i zasiewa na niej ziarno.
GHI z ziemi tej, gdy deszczyki przyjdą z wiosną, bujne kłosy wnet wyrosną.
JKL żniwa cel. Gdy ze spichrza gospodarza zwiozą zboże do młynarza.
MNO zboże to obrotem koła miela, w białą mąkę go przemienia.
PTU i co tchu. W piec ogromny wkłada ciasto, aby miała wieś i miasto.
WRZ zjesz chleb wnet. Lecz patrz ile rąk potrzeba, aby zjeść kawałek chleba.*

Gdy we Lwowie narodziło się polskie harcerstwo(1911r.) skauci śpiewali: „*My idziemy w zórz świtanie, tam gdzie Polski zmartwychwstanie*”...

Znany był powszechnie i odmawiany razem z pacierzem wiersz napisany w 1900 roku przez Władysława Bełzę pod tytułem:

„*Katechizm polskiego dziecka*”.

Kto ty jesteś? – Polak mały. Jaki znak twój? – Orzeł biały.

Gdzie ty mieszkasz? – Między swemi. W jakim kraju? – W polskiej ziemi.

Czym ta ziemia? – Mą Ojczyzną. Czym zdobyta? Krwią i blizną.

Czy ją kochasz? – Kocham szczerze. A w co wierzysz? – W Polskę wierzę.

Coś ty dla niej? – Wdzięczne dziecię. Coś jej winien? – Oddać życie.

(W treściach tego wiersza czuć nutę tęsknoty, wyznanie miłości, patriotyzm, narzekanie na niedolę, słowem samo życie.

Za różne przewinienia uczniowie karani byli karami cielesnymi. Targaniem za uszy lub włosy. Surowsza, to „paca”- uderzenia ściągą (drewnianą linijką) po wewnętrznej stronie dłoni, sukieneczynie albo po porciętach. Także zatrzymywanie w tzw. „kozie”¹⁵. Kary wymierzał nauczyciel i ksiądz, który miał wyższy status niż dyrektor i odpowiadał za moralne wychowanie dzieci. Dzieci też potrafiły psocić i dokuczać, ale na ulicy nikt nie słyszał takich wulgaryzmów, rażącego zachowania, bezwstydu, chamstwa i wyzywających strojów jak obecnie. Teraz dzieci mają większe prawa jak rodzice i wychowawcy, ale za to mniej szacunku, dyscypliny i kultury.

W święta narodowe, uroczystości kościelne i szkolne, dzieci uczestniczyły najpierw we mszy świętej w kościele, stały parami: dziewczyny po lewej a chłopcy po prawej stronie. Dopiero po mszy wszyscy brali udział w imprezach publicznych. Był taki zwyczaj, że w Zielone Świątki dzieciarnia na pastwisku urządziła sobie świąteczną gościnę. Z ziemi wykonywali stół, a wokół siedzenia. Dziewczyny plotły wianki z kwiecia na głowy, a chłopcy czapki z sitowia. Każde dziecko przynosiło jakiś smakołyk do wspólnego poczęstunku. Zawsze znalazł się muzykant i zagrał do tańca. W jednej z rodzin był chłopiec silny i nad wiek wyrosnięty, ale w głowie nieszczęśnik miał pustawo. Dzieci często otaczały go i dokuczały: „Fediu, ty takij wyłykij jak tupola a takij durnyj jak fasola”. Długo trzeba było Fediowi dokuczać, aby go w końcu zdenerwować. Ale kiedy już wpadł w złość, to najbezpieczniej było trzymać się od niego z dala. Kiedyś w złości pozabierał dzieciakom czapki, uniósł drewnianą chałupkę za róg do góry, włożył czapki pod węgiel (narożnik domu) i postawił z powrotem. Usiadł pod ścianą i zaczął się śmiać. A dzieci w lament, bo w domu za zgubioną czapkę czekało trzepanie porciat.

Podporucznik rezerwy Wojska Polskiego Jan Maciela już przed wojną prowadził klub młodzieżowy „Strzelec”. Austriacy na terenie swojego zaboru zezwolili na utworzenie Towarzystwa Sportowo Gimnastycznego pod taką właśnie nazwą. Klub ten prowadził kursy dla młodzieży. Starsi chłopcy uczyli się strzelać z prawdziwej broni, musztry i wielu innych umiejętności przydatnych przyszłemu żołnierzowi. Po pomyślnym ukończeniu kursu, młody adept mógł ubiegać się o skrócenie służby wojskowej. Członkowie klubu reprezentowali wieś w różnych uroczystościach wiejskich i powiatowych w Samborze.

W drugim budynku szkolnym uczniowie kończyli edukację czteroletnią, stała „Na Dole”. W tej szkole aż do wojny uczyli: wspomniany wyżej Juliusz Frey i

¹⁵ „Kozą”- rodzaj kary, polegający na zamykaniu uczniów w klasie po lekcjach na jakiś czas.

Pacholewski. O niej nic więcej się nie dowiedziałem. Trzecią była stara szkoła stojąca naprzeciwko kościoła. Budynek tej szkoły został rozebrany.

Mieszkańcy Kranzbergu mieli własną szkołę, niemiecką – „Małą”. W czasie wojny jej dyrektorem był Jan Cygler. Miał dwie córki, Danutę i Aleksandrę (Oleńka). O względy Oleńki starał się Zygmunt Gabory, a potem Tadeusz Bissingier. I on był oficjalnie jej narzeczonym. Kiedy przyszli Niemcy, Cygler namawiany był do podpisania tzw. Volkslisty. Odmówił, więc żona szykanowała go i poniewierała. Nawet nie gotowała mu posiłków. Stali się ubodzy. Wyzbywał się wartościowszych rzeczy, by przeżyć. Zdarzało się, że jadał kartofle pieczone w ognisku z solą i czosnkiem razem ze swoimi uczniami. Był praktykującym katolikiem i codziennie przystępował do sakramentu. W tej szkole jeszcze przed wojną nauczycielem był Józef Sinicki (żona - Henryka, dzieci - Henryk i Niusia). Syn Henryk Sinicki ukończył prawo i przed wojną pracował w ambasadzie francuskiej we Lwowie. Kiedy Rosjanie zaczęli repatriację Polaków z terenów obecnej Ukrainy to on był kierownikiem Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Widziano go w tej roli jeszcze w 1945 r. Nauczyciel Sinicki opuścił Dublany przed przyjściem sowietów w 1944 roku.

4 PRZED WOJNĄ

W okresie przedwojennym administrację państwową reprezentował: urząd gminy, posterunek policji i poczta. Niedaleko budynków gospodarczych plebanii miało swoje magazyny „Kółko Rolnicze”. W dużym murowanym budynku mieścił się magazyn i sklep zwany „Kooperatywą”. Tu rolnik mógł kupić nasiona, narzędzia rolnicze i różne artykuły potrzebne w gospodarstwie.

Mydło, sól, naftę, zapalki, sacharynę (na święta także cukier, który był w dużych bryłach tzw. „głowach”) mieszkańcy nabywali w sklepie u Żyda. Ukraińcy mieli podobny, własny sklep w innej części wsi.

Na targu w Samborze gospodarze sprzedawali własne produkty: jaja, masło, sery, śmietanę, zboże, krowy, cielęta, konie lub źrebięta, kozy, kury i inne.

W latach trzydziestych, aż do początku wojny, prowadzone były kursy rolnicze, na których słuchacze poznawali nowe metody uprawy zbóż, okopowych, warzyw, hodowli zwierząt i zdobywali wiadomości przydatne w codziennym życiu. Kasa „Stefczyka” w Samborze udzielała niskoprocentowych pożyczek, pomagała rolnikom budującym oraz przy zakupie narzędzi, sprzętu rolniczego i nasion. 04.12.1937 r. Minister Spraw Wewnętrznych wydał rozporządzenie o zmianie granic gminy Dublany i Dorożów, położonych w powiecie samborskim. Sąsiednie wioski i osady to: Kornalowice, Hordynia, Bilinka, Siekierzyce, Nowoszyce, Oźmina, Horodyszczce, Oleksięta, Kulczyce.

Urząd Gminy mieścił się w prywatnym domu gospodarza Schwartza. Najważniejszą osobą w gminie był wójt (Materna). Ponieważ wieś była duża, sołtysów było kilku. W czasie niemieckiej okupacji jednym z sołtysów był Ukrainiec, Powroźnik, dobry człowiek, który pomagał i ratował

współmieszkańców. Dzięki niemu, przyłapaną na nielegalnym uboju kobietę obciążono tylko 200 złotową grzywną, a groził jej obóz koncentracyjny. Innym sołtysiem - na Horyniu był Rupnicki. Gońcem i woźnym gminnym w jednej osobie był Michał Żuk. W niedzielę po sumie na placu przed kościołem wójt podawał do wiadomości ogólnej wszelkie ogłoszenia i zarządzenia. Obowiązkiem mieszkańców było prowadzenie bieżących napraw dróg lokalnych; mieszkańcy posiadający konie przywozili wybierany z koryta rzeki „szuter” (żwir). Inni zasypywali nim uszkodzone miejsca na drodze i ubijali lub udrażniali i czyścili fosy (rowy melioracyjne), naprawiali mosty.

We wsi działała straż pożarna. Strażacy to ochotnicy, ludzie młodzi, sprawni fizycznie, dobrze wyszkoleni, w razie potrzeby śpieszący również z pomocą do sąsiednich przysiółków.

Przed wojną i za Rosjan (do 21.06.1941 r.) jednym z policjantów był Icek (Ichak) Kolb, którego później Niemcy zastrzelili. Innego, p. Niewiadomskiego, Rosjanie wywieźli w głąb Rosji i zaginął. Policjantem był też Jan Szkolnicki. We wsi nie brak było dobrych rzemieślników: kowale, przed i w czasie wojny: Wajdel, Waclaw Dziadusz (na Horyniu), Łuczkowski (w pobliżu kościoła) oraz Kañciura. Potrafili zrobić narzędzia potrzebne rolnikowi: pług, brony, siekierę, podkuć konia, wykończyć i kunsztownie ozdobić wiele wyrobów z żelaza. Na kilka lat przed wojną pojawiły się bardzo chwalone narzędzia rolnicze z polskich zakładów Weneckiego z Torunia i pierwszy nawóz sztuczny - Tomasyana.

Rzeźnicy: m.in. Jan Gabory (żona Maria, córka kowala Dziadusza). Wyroby jego były smaczne, przeznaczone na każdą kieszeń. Kielbasa dla wszystkich za 1 złoty, za 1,80 do 2,40 zł. dla księdza, nauczyciela i wójta. Po wojnie, prowadził rzeźnię w Dolicach i tu też jego produkty znalazły uznanie klientów. Inni miejscowi rzemieślnicy to: cieśle, stolarze, kołodzieje, bednarze, druciarze, blacharze oraz młynarze i szewcy.

Stolarze wytwarzali proste meble, okna, drzwi, deski na podłogi. Kołodzieje koła i wozy. Bednarze robili maśniczki (przyrząd do ubijania śmietany, aż do wytrącenia się masła), beczki różnych kształtów i rozmiarów, cebry, wiadra, putnie¹⁶. Druciarz potrafił misternie opleść drutem pęknięty gliniany garnek, tak że często służył on dłużej niż nowy. Spleść siatkę czy sito do „czynienia” (czyszczenia) ziarna. Sita miały swoje nazwy: Do wstępnego oddzielenia ziarna od słomy służył rajtak, do oddzielenia ziarna z niewymłóconych kłosów – „ryszoto” (rzeszoto), a do przesiewania mąki podsitek. Cieśle stawiali domy i stodoły, robili mosty, wrota i inne drewniane konstrukcje. Blacharze: kryli dachy blachą, robili wanny do kąpieli i prania, wiadra, naczynia na naftę i blaszane beczki. Najbliższy młyn stał nad rzeką Bystrzycą w Oziminnie. Mąka zmielona jeden raz to „razówka”, zaś lepszej jakości (mielona dwa razy i odsiewana) to mąka pytłowa.

Każdy szanujący się gospodarz miał eleganckie skórzane buty z wysokimi, sztywnymi cholewami, wyglansowanymi do połysku. Buty kawalera, musiały jeszcze dodatkowo skrzypieć. Przed wojną modne stały się „oficerki”, na wzór

¹⁶ Putnia – drewniane, duże wiadro do studni.

butów noszonych przez oficerów Wojska Polskiego. I pantofle – „meszty” na lato. W „budny ” dzień¹⁷ noszono trzewiki lub sandały. Do podróży saniami, na zimowe obuwi zakładano dodatkowo uplecione ze słomy, wielkie kalosze, a na "grzbiet" ciepłe baranie kozuchy. Od wiosny do jesieni większość mieszkańców chodziła boszo, nawet idący do kościoła nieśli obuwi na ramieniu, a wkładali je dopiero przed wejściem do kościoła. Znane powszechnie było powiedzenie „poznasz pana po cholewach”, bo buty pana lśniły, że można się było w nich przejrzeć. Buty i sandały robili miejscowi szewcy. Krawcy szyli potrzebne ubrania i kozuchy.

Skład drewna budowlanego to także miejsce, gdzie przecierano dłużyce (kloce) na deski, brusy i belki. Drewno przecierano jeszcze tradycyjnie. Kloc do przepiłowania na deski wtaczany był na dwumetrowej wysokości kozły i tam mocowany. U góry na klocu stał jeden z piłujących, który prowadził długą piłę po uprzednio wyznaczonej kresce i ciągnął piłę (oburącz) do góry. Drugi mężczyzna ustawiał się pod klocem, ciągnął także dwoma rękami piłę ku dołowi. Zęby piły skierowane były do dołu. Na początku lat dwudziestych powstały traki wodne, a wkrótce potem parowe.

Prawie wszystkie pomieszczenia gospodarcze(stajnia, obora, chlewnia, itd.) budowane były z drewna sosnowego pod jeden dach, pokryty strzechą ze słomy lub trzciny. Ściany z ciosanych, drewnianych bali uszczelniano mchem, czasem zalepiano gliną. Również ubita glina służyła za podłogę lub klepisko w stodole, a czasami i w domach. W nowszych domach podłogi były już drewniane z heblowanymi deskami. W chałupie wiejskiej znajdowały się zazwyczaj dwie lub trzy izby, kuchnia, mała spiżarnia i sień. Pomieszczenie sypialne nazywano alkierzem. W sieni stały żarna, stępka i drabina prowadząca na strych. Długo stały jeszcze tak zwane „kurne chaty” bez trzonu kominowego, gdzie się kurzyło, to znaczy dym z paleniska uchodził przez specjalny otwór w dachu. W czasie palenia dymu nie brakowało w całej chacie. W kuchni stał też wielki piec z polnych kamieni, aby dłużej utrzymywały ciepło. W zimie ogrzewał izbę i sypiano na tzw. przypiecku lub zapiecku. Służył także do pieczenia: chleba, placków, pierogów, gołąbków, mięsa i innych potraw. Natomiast w nowszych domach kuchnia do gotowania strawy zbudowana była z glinianych cegieł, przykrytych metalową płytą z fajerkami. Pod nią znajdowało się palenisko. Pod rusztem był popielnik – nisza na opadający popiół. Na płycie gotowano potrawy w żeliwnych garnkach. Garnki z wypalanej gliny służyły do przechowywania potraw, mleka i jego przetworów, kiszania warzyw itd. Kapusta kiszona przechowywana była w dużych dębowych beczkach. Mieszkania oświetlane były świecami łożowymi, lampami naftowymi, a do oświetlania przy pracach w gospodarstwie służyła latarka naftowa. Naftę (gazolinę) kupowano w sklepie Kółka Rolniczego i wlewano do blaszanej bańki, w której była przechowywana.

Nowe domy zaczęto stawiać po wielkim pożarze w 1923 roku. Były już większe, murowane z cegły i kryte dachówką lub blachą. Inne budynki gospodarcze, mianowicie: stodoły, spichlerze, drewnutnie i in. budowano z dala od domów mieszkalnych, by w razie ognia nie spłonęło całe gospodarstwo. Zagrody

¹⁷ Budny dzień (budzień) - zwykły, codzienny, (na co dzień).

grodzono płotem z chrustu lub żerdziami. W latach trzydziestych XX w. rolnicy ubezpieczali swoje domy w ubezpieczalni państwowej. Zdarzało się, że ten, który miał stary dom sam go podpalał, a za pieniądze uzyskane z ubezpieczenia mógł nabyć materiały budowlane na nowy dom. Na każdym podwórku znajdowała się studnia kopana bardzo głęboko i "cembrowana", tj. ze ścianami wzmocnionymi betonowymi kręgami. Wodę czerpano za pomocą „żurawia” lub kołowrotu, na którym wieszano duże drewniane wiadro – „putnię”. Przy studni stało wielkie drewniane koryto do pojenia bydła i ceber do prania lub kąpieli. Do noszenia wody służyło „koromysło”¹⁸. Pranie odbywało się nad potokiem, a zimą w przerębli, przy pomocy "pranika"¹⁹. Pranie (bieliznę, ubrania czy pościeli) moczono, układano na długiej desce, namydłano i uderzano wielokrotnie „pranikiem”, polewając je wodą i przewracając, aby dobrze wyłuc brud. Czynność tę powtarzano kilkakrotnie. Suszono na trawie lub na sznurkach. Garnki starannie wymyte wieszano do góry dnem na kołkach w płocie, by się „wygrzały” na słońcu (obciekły, wyschły, a zimą wymroziły).

Domy na zimę ocieplano (ogacano) liśćmi i łętami ziemniaczanymi bo zimy bywały długie, mroźne i głodne. Śnieg często tak zasypywał, że tylko dachy było widać. Kopano wtedy tunele, by dotrzeć do obory czy stodoły. I tylko dym wydobywający się z komina świadczył o tym, że ktoś jeszcze żył w tej chałupie. Śnieg paraliżował też ruch pociągów. Mieszkańców wzywano do odśnieżania dróg i torów kolejowych w ramach obowiązkowego szarwarku.

W każdym domu była maśniczka, oraz prasa do odciskania twarogu i stępka²⁰. Do ucierania maku służyła makutra. Innym powszechnie używanym narzędziem były żarna. Na żarnach rozdrabniano (męło) uprzednio wysuszone w piecu zboże (żyto, pszenicę). Takie mieliwo należało przesiać przez gęste sito, oddzielając mąkę od otrąb. Do spożywania potraw służyły miski drewniane, gliniane, a potem już fajansowe. Łyżki robiono przeważnie z drewna bukowego, lipowego i topolowego. Mniejsze służyły do jedzenia, a większe, zwane „kopyścią”, do mieszania potraw w czasie gotowania. W latach trzydziestych można było już kupić naczynia z fajansu i szkła. Te jednak miały wielką wadę, bo często się tłukły (rzucając nimi w męza, trzeba było się liczyć z kosztami).

W izbie stał stół, taborety, stołek lub ława, czasami bambetel²¹. Do przechowywania ubrań, bielizny służył kufer²². Kilka lat przed wojną pojawiły się szafy na ubrania, komody na bieliznę i kredensy w kuchniach, ale tylko u bogatszych gospodarzy: felczera, nauczyciela, urzędnika czy poczmistrza.

¹⁸ Koromysło (nosidło) – lekka belka drewniana, odpowiednio wyprofilowana (z wycięciem na kark i szyję) by wygodnie leżała na barkach. Na haczykach zwisających z jej końców zawieszane były dwa wiadra z wodą.

¹⁹ Pranik (kijanka) – drewniany przedmiot służący do prania ręcznego.

²⁰ Stępka (stępa) - wydrążony okrągły drewniany klocek wysokości 1 m i średnicy około 35 cm z twardym dnem. W taką „rurę” sypano porcję wysuszonego wcześniej prosa czy jęczmienia na kaszę lub pszenicy na wigilijną kutię. Uderzeniami tłuczka „upichano” (objano) z tych nasion łupkę (łupiny). Powstałą z łupin paszę nazywano otrębami.

²¹ Bambetel (kanapa) – długa i szeroka ława, która w dzień służyła do siedzenia i przechowywania bielizny, a w nocy, po odchyleniu pokrywy, jako miejsce do spania (skrzynia z siennikiem wypchanym słomą, przykrytym lnianym prześcieradłem).

²² Kufer - pojemna skrzynia drewniana zamykana wiekiem (czasami pięknie rzeźbiona, w której panna gromadziły swój posag -wyprawkę).

Okoliczne ziemie były różne, ale najczęściej wysokiej klasy. Przeważały urodzajne czarnoziemy oraz położone niżej mady (również żyzne, ale często błotniste), a niekiedy także piaski, na których przeważnie rosły lasy.

Życie na wsi, to codzienny znój i trud. Praca od świtu do nocy. Dublański chłop rozpoczynał każdą pracę czyniąc znak Krzyża Świętego ze słowami "w Imię Boże". Kiedy wyjeżdżał zaprzęgiem, kreślił batem na ziemi znak krzyża. Z przechodniami witał się: "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", a pracujących pozdrawiał: "Daj Boże Szczęście" i słyszał odpowiedź, "daj Boże i tobie". Z Ukraińcem witał się: "Sława Jezusowi Chrystusowi" a w odpowiedzi słyszał: "Na wiki wikiw Amem". Sprzęt do uprawy roli był bardzo prosty, kowalskiej roboty. Pług to czterostronnie ociosany, dobrze dobrany kawałek belki dębowej. Z jednego końca tej belki przyśrubowana była żelazna belka "grządziel" z odkładnicą i lemieszem oraz dwa uchwyty zwane czepigami, przy pomocy których oracz kierował pługiem w czasie pracy. Z drugiej strony proste urządzenie do regulowania szerokości skiby i głębokości orki oraz hak, na którym zawieszony był orczyk dla zaprzęgu. Brona to też drewniane belki połączone na krzyż, w których kował mocował stalowe zęby.

Już przed drugą wojną światową niemieccy gospodarze sprowadzali, jako pierwsi: sieczkarnie, kosiarki do traw, kieraty, młocarnie, wialnie do czyszczenia zboża (młynki), żniwiarki koszące i kładące zboże w garście, które wystarczyło tylko związać powrósem i postawić w kopy. Rytm pracy rolnika od wieków był ten sam w zależności od pory roku. Wiosną siał, sadił, pielęgnował uprawy i odchwaszczał. Nim rzucił pierwszą garść nasion w glebę mieszał je z ziarnem wykruszonym z poświęconego kłosa w dniu Matki Boskiej Zielnej (15 sierpnia), skropionego wodą święconą. Ziarno wysiewał z płachty²³. Jedną ręką podtrzymywał płachtę ze zbożem i idąc, drugą ręką rzucał nasiona w przygotowaną rolę. Ziarno musiało być równomiernie wysiane na zagonie. Następnie bronował pole. Ziemiaki sadił "pod pług" lub motyką. Kosił łąki i przygotowywał siano do zimowego żywienia zwierząt. Potem pielęgnował i odchwaszczał łąny. Chwasty w zbożach plewiło się ręcznie, a na polu z ziemniakami niszczone je brona, aż do ukazania się wschodów. Potem kilka razy należało je obredlić (obsypać), dopóki łąty nie zakryły łąny. Bywało, że uprawy zarastały chwastami i zabarwiały się na chabrowo lub czerwono. Stara piosenka mówiła: "pszenica w bławacie, gospodarz w szkarłacie, pszenica w maku, gospodarz w kubraku, pszenica w rumianku, bywaj zdrów kochanku".

W żniwa i jesienią rolnik z rodziną zbierał plony - to czas najpracowitszy. Zboże żęło się sierpem i kosą. Do podstawowych prac jesiennych należał zbiór okopowych, wywózka obornika, orka i siew ozimin. Ziemiaki kopano ręcznie przy pomocy motyki. Warunki pracy jesienią są dużo gorsze niż wiosną czy latem. Dni stają się coraz krótsze, chłodniejsze i mokre. Zimą młócono zboże - cepem na klepisku w stodole i czyszczono ziarno. Trzeba było także przygotować drewno na opał oraz sprzęt do przyszłych prac letnich, zadbać o dom i budynki gospodarcze. Do prac sezonowych dochodziły całoroczne obowiązki dla całej

²³ Płachta do siewu - kawałek płótna lnianego zawieszony na ramionach siewcy i końcami zawiązany na jego plecach.

rodziny, związane z obsługą zwierząt domowych (karmienie i pielęgnacja, pozyskiwanie i przetwarzanie produktów pochodzenia zwierzęcego).

W pierwszym dniu Wielkanocy gospodarz nie powinien leżeć, bo zboże wylegnie. Nie wolno było zabijać pszczoły, bociana i jaskółki. W czasie deszczu zakładano na głowę i plecy podwójnie złożony worek konopny.

Od jesieni aż do Bożego Narodzenia, pracowały olejnice „bijąc” olej z siemienia lnianego. Oprócz podstawowych zbóż siano len i konopie. Słoma lniana i konopna była surowcem na włókno. Uprawiano też proso i grykę na kaszę. W zimowe wieczory kobiety przedły len i wełnę. Do przedzenia służyła kądziel i wrzeczono, a do zwijania gotowej przędzy – motek. Grubość nici była dobierana według potrzeby: cienkie i delikatne na bieliznę codzienną, niedzielne koszule, prześcieradła czy obrusy, nieco grubsze, mocniejsze, na odzież codziennego użytku. Powrozy, sznury i worki robione były z włókna konopnego. W późniejszym czasie upowszechniły się kołowrotki do wyrobu przędzy. Do wyrobu płótna służyły warsztaty tkackie, tzw. „krosna”. Tkano na letnie i zimowe ubiory, kaftany, spodnie, koszule świąteczne i „zgrzebne” – codzienne. Doświadczony tkacz potrafił utkać na płótnie różne kolorowe wzory.

Proste stroje szyły kobiety ręcznie (igłą). Wzorzyste kolorowe chusty na głowę, wstążki dla pańienek do zaplatania „kos”²⁴, a także angielskie męskie kapelusze, tzw. „manchestery”, nabywane były w miejskich sklepach w Samborze i Drohobyczu. O chłopie paradującym w nowym kapeluszu powstało nawet trochę szyderskie powiedzenie: „chłop z sioła a kapelusz z miasta”, a po ukraińsku „did s sieła a szapa s mista”. Wiadomo, że ten wiejski chłop nie zawsze pachniał jak mieszczanin, a paradował w kapeluszu.

Galicyjski Rocznik Statystyczny z 1877 r. wspomina, że tkacze z Dublan znani byli w okolicy z dobrych wyrobów i tkali je w znacznych ilościach. Buty i sandały robili miejscowi szewcy. Krawcy szyli potrzebne ubrania i kożuchy.

Słyszałem kiedyś opowieść o pewnym żydowskim krawcu i dziedzicu. Otóż dziedzic ów znany był w okolicy z różnych kaprysów, fanaberii i oryginalnych pomysłów. Kupił sukno na płaszcz i powierzył jego uszycie krawcowi - Żydowi. Po pewnym czasie kazał ten płaszcz przerobić na kurtkę. Następnie z kurtki uszyć marynarkę. A z niej kamizelkę. Z kamizelki zażyczył sobie, by Żyd uszył czapkę. Kiedy czapka była gotowa pozbierał wszystkie skrawki materiału z poprzednich przeróbek i polecił Żydowi by ponownie uszył płaszcz. Żyd nie spodziewając się podstępny dziedzic z resztek sukna szył stroje swoim dzieciom. „Ależ panie dziedzic, jakże ja panu z czapki i tych kilku skrawków uszyję płaszcz. Przecież moje dzieci muszą też chodzić jakoś ubrane. Czy pan o tym nie wiesz?”

²⁴ Kosy– zaplecione dziewczęce warkocze.

5 OBYCZAJE, GWARA I OPOWIEŚCI

W długie zimowe wieczory, kiedy izbę oświetlał tylko blask z kuchennego paleniska, a za oknem była zima, rodzice opowiadali dzieciom przeżyte zdarzenia oraz pouczające legendy i bajki. Przychodzili też sąsiedzi by poplotkować oraz opowiedzieć o aktualnych wydarzeniach ze wsi i ze świata. Nie zapomnę historii, którą mój ojciec przeżył w czasie pierwszej wojny światowej. Jako dwudziestodwuletni austriacki żołnierz w jednej z potyczek dostał się z kolegami do rosyjskiej niewoli. Była jesień. Moskale gnali ich kilkanaście dni na wschód. Tam (nazwy miejscowości już nie pamiętam) ich zamknęli w barakach. Ściany tych baraków zbite były z desek, miały wszędzie szpary, przez które w nocy wdzierało się zimno. Rosjanie codziennie pędzili ich do wydobywania gliny z głębokich dołów. Trzeba było cały dzień, stojąc po kolana w wodzie, łopatą tę glinę wybierać. Jedzenie było więcej niż podłe. Kucharz – też jeńiec, chcąc urozmaicić jadłospis, gotował nawet mięso z psów i kotów. Można było tam umrzeć na zapalenie płuc lub uciec. Uciekło ich kilku i po miesiącu nocnych wędrówek, szczęśliwie wrócili do domu. A później jesienią 1918 r. wojna też się skończyła. Takie wieczorne schadzki u sąsiada to ówczesne życie kulturalne mieszkańców wsi. Przy przedzeniu lnu, darceniu pierza, kiszeniu kapusty itd., kobiety opowiadały zasłyszane od swoich dziadków baśnie, wymyślały opowiadania oparte na miejscowych zdarzeniach, legendy (o duchach, czarach, mamach²⁵). Śpiewano różne piosenki. Do prac przyuczały się młode panienki, którym pomagali i adorowali je kawalerowie, organizując zabawy i psoty. Konsekwencją takich zabaw było następujące zdarzenie: Opowiadano, że przy kapliczce stojącej koło „krzywej jabłoni”, pojawiał się o północy duch i prosił o chrzest (wołał chrztu, chrztu, chrztu). Należało wtedy pobożnie uczynić znak Krzyża Świętego, nadać imię proszącemu, mówiąc np.: „Mario czy Janie, ja ciebie chrzczę w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen”. Na miejscu należało zostawić jakąś rzecz, np.: chustkę, fartuszek czy cokolwiek z odzieży, jako ofiarę "krzyżmę". Nie wolno było zostawić duszy bez pomocy, gdyż cierpiała potem męki czyśćcowe. O ewentualnym spotkaniu nie wolno było nikomu mówić. Po kilku dniach, jedna z panien wracała późno z prądkami. Zza kapliczki usłyszała wołanie. Wystraszyła się bardzo, ale pamiętała o przestrodze. Przemogła więc strach, przeżegnała się pobożnie, ochrzciła według usłyszanych wskazań i głośno rozważała, co ma dać nieszczęsnej duszy? (Którą część garderoby ma podarować?). Zdjęła zapaskę (fartuszek), zostawiła i pobiegła wystraszona do domu. Następnego dnia wieczorem, jak zwykle poszła prażyć. Chłopcy też przyszli i przebąkiwali coś o duchach. Wreszcie jeden pokazał ową zapaskę i pyta: „Czyja to może być zguba?” Długo jeszcze potem śmiano się z łatwowiernej i naiwnej dziewczyny. Inne zdarzenie: Pewien mężczyzna późno w nocy wracał z sąsiedniej wsi przez łąki do domu. Idąc, usłyszał z daleka wołanie: Petre, Petre, Petre (Piotrze). Wydawało mu się, że to jego brat woła. Za chwilę zobaczył, że idzie przed nim, ale wcale się nie odzywa. Poszedł więc za nim. Szedł tak i szedł, aż słońce wzeszło. Zatrzymał się, rozejrzył i stwierdził, że cały czas chodził ścieżką, którą przez noc wydeptał wokół rozległej łąki. Pomyślał więc, że to

²⁵ Mam – mamić, prowadzić niewłaściwą drogą.

właśnie ów „mam” go prowadził. Zapamiętałem także opowiadanie mojej mamy. Zdarzenie to miało miejsce dawno temu, kiedy Jezus chodził po ziemi żydowskiej. Wielka rzesza ludzi słuchała jego nauki, ale jej nie rozumieli, bo serca mieli zatwardziałe. Oburzony tym faktem Jezus powiedział, że nie warci są nawet chleba, który codziennie spożywają i chciał zniszczyć rosnący opodal łan pszenicy. Kłos pszeniczny był wtedy długi i miał początek przy samej ziemi. Uchwycił palcami ów kłos od dołu i ciągnąc w górę, strącał ziarna. Matka Boska chwyciła dłonią za koniec kłosa i powiedziała: „Zostaw, chociaż tyle dla psa i kota, które nie są niczemu winne, a to też stworzenia Boże”. Dlatego kłos zboża ma dzisiaj długość tylko ludzkiej dłoni.

A oto zdarzenia prawdziwe:

Dwie kobiety serdecznie się pokłóciły. Jedna z nich w wielkim gniewie obmyślała jak to skutecznie zemścić się na sąsiadce za poniesiony afront. Myślała i myślała i wreszcie wymyśliła. Kupiła świecę, pobiegła do księdza i mówi „chciałam ofiarować świecę na ołtarz”. Ksiądz nieco zdziwiony hojnością niezbyt gorliwej parafianki zapytał „a w jakiej że to intencji ta świeca ma się palić?” Ona odpowiedziała „niech ksiądz się pomodli by moja sąsiadka N.N. skapiała tak jak ta świeczka”. Ksiądz zdziwiony nietypową intencją odpowiedział po chwili namysłu: „weź kobieto tę świeczkę i zapal sobie w domu, niech ci ona tam skapieje. Ja jej na ołtarzu nie postawię i dziękuję za taką ofiarę!”

I inne: Szedł kmiotek piechotą do Sambora. Kosturem się podpierał, na ramieniu dźwigał węzełek z „pliskanką syra”²⁶, półkopkiem²⁷ jajek, osełką masła. Trochę zmęczony pomyślał: „oj żeby tak jakaś furka nadjechała, to może bym się przysiadł”. Po dłuższym czasie usłyszał turkot kół i z nadzieją stanął na poboczu drogi. Pojazd zatrzymał się, a w bryczce siedział wygodnie rozparty dziedzic i spytał - a dokąd to chanie śpieszysz? A do Sambora jaśnie panie dziedzicu, do Sambora, na targ! Dziedzic pyta dalej? A czy ty wiesz chłopie, że tam przed wejściem na targowisko starą babę trzeba w dupę całować? Chłopina podrapał się po głowie, chwilę pomyślał i powiedział: a kudy tam panie dziedzicu cham do całowania się dopchnie, kiej pany zawsze pierwsze. Chłopska odpowiedź pana zatkała i odjechał jak niepyszny, a chłopina poszedł dalej piechotą. Targi w Samborze odbywały się w poniedziałki i czwartki. Zwyczaj ten praktykowano od wielu lat. Wprowadził je specjalnym zarządzeniem król Zygmunt III 1636 r.

Mężczyźni też zbierali się „na posiadki” u któregoś z sąsiadów. Tam gwarząc, wyplatali kosze z wikliny do zbierania ziemniaków, kobiałki do przewożenia produktów na targ, małe okrągłe lub podłużne koszyczki (nawet ze słomy), jako formy na ciasto chlebowe, słomiane kalosze, słomiane beczki na zboże, naprawiali uprząż, nawlekali szczołki. Natomiast w niedzielne popołudnia grywali w karty. Jeden z takich karciarzy, mąż z krótkim stażem małżeńskim, odpowiedział utyskującej żonie na jego ciągłą nieobecność w domu: ciesz się, że ci bachorów narobiłem, masz zajęcie i nie musisz się nudzić. Na posiadkach opowieści różne można było usłyszeć. Ciekawe były wspomnienia uczestników

²⁶ Pliskanką syra. Zsiadłe mleko wlewano do trójkątnego worka płóciennego i w specjalnej prasce odsączano serwatkę. Otrzymaną w ten sposób porcję twarogu nazywano "pliskanką syra".

²⁷ Półkopek - pół kopy, tj. 30 szt.

wojen, opowiadania ludzi, którzy wyjeżdżali na „roboty” za granicę, do Niemiec, Francji, Belgii, czasem nawet za wielką wodę, aż do „Hameryki” (Ameryki). Wspominano czasy „za cara”, kiedy młody mężczyzna poszedł w „sałdaty„ (do wojska), a po dwudziestu pięciu latach wracał już jako starzec i nikt go nie poznawał. O kilkumiesięcznych przemarszach hen, gdzieś aż za wielką rzekę pod mandżurską granicę. Albo o syberyjskich długich zimach i mrozach. Tam jak mężczyzna sikał to mocz zamarzał nim spadł na śnieg. Służba tam była ciężka i wielu już nigdy do domu nie wracało. Wspominano też czasy za panowania Franciszka Józefa, kiedy to było nieco lżej żyć, choć też wielu z wziętych wówczas do wojska, poległo za "cysarza, najjaśniejszego pana Franca Josefa". Tu z odrobiną nostalgii wspominano Austriaków, armię zmobilizowaną z wielu narodów. O tym, jak wieczorami na froncie żołnierze szli do okopów armii przeciwnika „zakurzyć lulkę” i spotykali się z rodakami, nawet znajomymi, służącymi u Prusaków, Austriaków czy Rosjan. Słyszałem też wspomnienie jednego z uczestników wojny Rosyjsko – Fińskiej (XII 1939 – III 1940). Opowiadał jak to Finowie ubrani w białe peleryny, niepostrzeżenie w śnieżne noce wyżynali nożami całe rosyjskie oddziały. Choć byli mniej liczni, Rosjanie bali się ich panicznie i wielu ich tam zginęło.

Ważną czynnością było kiszenie kapusty. Robiło to kilka osób. Jedni oczyszczali głowy ze zbędnych liści i „kaczanów”, następni szatkowali i kładli do dziżki (beczki). A inny w tej beczce ugniatał dokładnie deptając bosymi stopami. Olej „biło” się z siemienia - nasion lnu. Nasiona należało wysuszyć, by dały się rozkruszyć w młynku. Taką mąkę mieszało się z wodą i ugniatało na kruche ciasto. Następnie, w dużym naczyniu podgrzewało na „wolnym ogniu” i mieszało mieszałem, bacząc by się nie przypaliło. Ogrzane nasiona olejarz zawijał w mocne płótno i wkładał do prasy. Prasa, to cylinder o średnicy około 60 centymetrów ze szczelnym tłokiem. Pod naporem tłoka uciskającego nasiona przy pomocy mocnej śruby, zakręcanej przez kilku mężczyzn, olej spływał otworkami w dnie do naczynia. Z resztek ziaren zostawał „makuch”, wykorzystywany, jako bardzo dobra pasza dla zwierząt. Olej miał przyjemny zapach i używany był do wielu potraw, np. do: kiszonej surowej kapusty, do smażenia, wypieków kołaczy i potraw postnych. Kto pierwszy raz przychodził do olejnicy lub młyna, musiał pocałować „starą babę” z tyłu w „cztery litery”, a tak naprawdę to bywał wymazany sadzą lub obsypany mąką. Spotykało to przeważnie młodych chłopców.

Drewno opałowe w lesie musiało być ułożone w „czwiertki” - kupy 2 do 3 m. długie, 1 m. wysokie i 1 m. szerokie. Kupy dzielone były przez gajowego, jedną zabierał chłop a drugą właściciel lasu. Ale chłop nie wiedział, którą wyrabia dla siebie. Do kupy kładł i grubsze i lichtsze drewno w podobnej ilości, by były o podobnej wartości. Chłopiska rąbali to drzewo a Hryćko, pojadał kapusty z grochem i co machnął siekierą to puścił bąka. Gajowy stał i słuchał. A że znał żarty i był „swój chłop” powiedział: Grzegorzu, jak pierdniesz dwadzieścia razy raz po raz, to „czwiertka” jest twoja. Zbiegli się i inni. Chłopisko zebrał siły i grzmocił, wierzgając nogą za każdym bąkiem: 1, 2, 3... 16, 17, 18, 19 i zabrakło mu tchu. Postać sekundę i do najbliższego powiedział: kumie pożyczcie raz! Kum, oczywiście chętnie pożyczyl, nawet dwa razy. Gajowy dał mu to

drewno, ale nie za pierdzenie tylko za to, że wiedział do kogo zwrócić się o pożyczkę.

Biedna wdowa najęła Szymona do skoszenia zboża. Ten skoro świt stanął z kosą na zagonie i kosił. Kobieta za nim podbierała to zboże i wiązała w snopy. W południe stawiało się przed nim garnek barszczu i upieczony w piecu chlebowym dublański pieróg²⁸. Szymko, chłop wielki i mocny zajadał z apetytem ów pieróg a barszczu mało. Więc kobieta powiedziała: Szymku bierz siedem łyżek barszczu a raz pieroga. Barszcz to potrawa tania a pieróg wtedy to prawdziwy rarytas. Dla większości mieszkańców największą radością, prawie szczęściem było zaspokoić głód, sprawić przyjemność podniebieniu. Jedzenia brakowało. Większość mieszkańców niedojadała przez długie miesiące. Stąd strawa dostarczała nie tylko rozkoszy podniebieniu a przede wszystkim zaspokajała codzienny głód. Możliwość obficie zastawionego stołu, najedzenia się mięsiwa, słoniny, kielbas, kapusty z grochem i skwarkami, przedkładano nad inne rozkosze. Kto je i pije ten dobrze żyje. Potrawy przyrządzane były z własnych zasobów: mąki, kaszy, ziemniaków, warzyw, herbaty z ziół i kwiatu lipy, kompotu, suszonych owoców, nabiału, oleju lnianego. Za kawę służył prażony w specjalnym naczyniu jęczmień. W sklepie kupowane były tylko niektóre produkty: sól, cukier, cykoria, śledzie, mydło, nafta i zapalki. Specyficznym okresem był post, należało nie tylko powstrzymać się od potraw mięsnych, ale niedojadać do syta. Tu królował olej, śledzie, czasem ryby. Postu przestrzegano bardzo surowo.

Dwaj zgodni jeszcze wtedy sąsiedzi, wykopali studnię na granicy swoich zagród, aby było taniej. Po pewnym czasie jeden z nich uniemożliwił i zabronił drugiemu czerpania wody. Minał jakiś czas i ów sąsiad zmarł. Kiedy kondukt pogrzebowy z trumną znalazł się na cmentarzu, przyszła straszna ulewa i woda zalała grób. Grabarze musieli trumnę przytrzymać drągami by grób zasypać. Mówiono wtedy: „żałował wody sąsiadowi za życia a miał jej pod dostatkiem po śmierci”.

Dawniej we wsi często paliły się siedliska. W wielu przypadkach, winni byli sami mieszkańcy, ale było też kilku takich, co podpalali złośliwie, często z zazdrości. W 1943 r. ktoś podpalił nasze siedlisko na Horyniu. Za kilka dni mama poszła do sąsiada (nazywany był "Kucy") i na jego podwórzu poznała swoje koryto do karmienia kur, które kilka dni przed tym przyniesione zostało od stolarza. Na pytanie: skąd ono się tu wzięło? Odpowiedział – „ta, po co ci ono, kiedy kur już nie masz?”. Po tym nieszczęściu zamieszkaliśmy na Kranzbergu, aż do czasu wyjazdu "na Zachód".

W okresie adwentu ksiądz już o godzinie szóstej rano odprawiał tzw. „roraty”. W wigilię Bożego Narodzenia ubierało się „drzewko”. Zawieszało się na nim jabłka, orzechy owinięte w błyszczącą folię - zamiast teraźniejszych bombek, oraz wiele innych ozdób, np. łańcuchy z kolorowego papieru, kawałków słomy przeplatanej kolorowymi papierkami nanizanymi na długą nitkę, watę zamiast śniegu, czasem świeczki, ale rzadko, bo groziły pożarem i in. Pod biały obrus na stole należało położyć pachnące, najlepsze siano, a na podłogę słomę. W kącie izby

²⁸ Pieróg dublański – farsz z gotowanych ziemniaków, smażonej cebuli, skwarków i kapusty. Owinięty w ciasto z pszennej mąki i upieczony w piecu chlebowym.

postawić snopek zboża, przeważnie owsa. Kiedy wzeszła pierwsza gwiazda, wszyscy domownicy modlili się wspólnie i dzielili opłatkiem, życząc sobie zdrowia i innych potrzebnych Łask Bożych w życiu. Wszyscy siadali przy stole do wspólnej uroczystej kolacji. Na stole było zawsze jedno nakrycie dla spóźnionego wędrowcy lub niespodziewanego gościa. Obowiązywało dwanaście postnych potraw: barszcz, pierogi ruskie, pierogi z kapustą, kiszona kapusta z olejem, gołąbki, sos z grzybami i smażoną cebulką, ryba, kutia, miód, pączki, ciasto i inne. Jednym ze zwyczajów było rzucanie kutii łyżką o powałę (sufit), aby zboże wyrosło dorodne. Po wieczerzy każdy ciągnął spod obrusa źdźbło siana. Długie źdźbło świadczyło o długim życiu i powodzeniu w nadchodzącym roku. Kiedy w domu była panna na wydaniu to brała łyżki, wychodziła przed dom, uderzała nimi o siebie i słuchała, z której strony zaszczeka pies. Z tej też strony miał pojawić się jej narzeczony, a może i przyszedł mąż.

Kruszyny zebrane ze stołu sypało się na grządkę w ogrodzie. Miała z nich wyrosnąć roślina maruny. Zwyczajem praktykowanym do dziś są prezenty dla dzieci, układane pod „drzewkiem”. Po kolacji było wspólnie śpiewanie kolęd z "kantyczki" (rodzaj śpiewnika). Młodzi chłopcy przebrani za Heroda, aniołów, pasterzy, Żyda, diabła z widłami i śmierć z kosą, chodzili od domu do domu śpiewając kolędy, przygrywając na skrzypkach i drumli²⁹, składając życzenia. Najchętniej zaglądali tam gdzie były dziewczyny i panny na wydaniu. Często diabeł posmolił dziewczynie policzki sadzą. Zaś łobuzy – kolędnicy, kiedy szli do następnego domu, to śpiewali tak: *„Hej kolęda, kolęda, wskoczył Bartek na dęba, podarł sobie porcięta. A z dęba na krzaki, podarł sobie chodaki, i tak dalej skakał, aż wszystkie łachy podarł na sobie i goły został. Ale był wesół, bo Chrystus się narodził”*. Dzieci kolędowały pod oknami i dostawały cukierki, ciasto, a często też parę groszy. Jeśli niczego nie otrzymał to śpiewały złośliwie *"W tej chatupce sami gołodupce, nic nie mają w garki s...."*

O północy wierni tłumnie śpieszyli na pasterkę. Śpiew w „nocnej ciszy” niósł się echem po najbliższych przysiółkach. W drugi dzień świąt – św. Szczepana, kapłan w kościele święcił owies, symbol kamieni, którymi ukamienowano św. Szczepana. Po poświęceniu młodzież z chóru sypała owsem na głowy zgromadzonych tak obficie, że nieraz ksiądz musiał hamować ich gorliwość. W następny dzień - św. Jana, starsi szli z kolędą i składali życzenia Janom – swoim krewnym lub sąsiadom. Po świętach Bożego Narodzenia kapłan odwiedzał swoje "owieczki", czyli chodził po kolędzie, aby pobłogosławić rodzinę, domostwo i pomodlić się razem z mieszkańcami. Towarzyszyli mu ministranci, oznajmiając dzwonkiem jego nadejście. Jednocześnie przed zagrodę zajeżdżał organista wozem, na który zbierał datki w naturze: zboże, drób, jajka, a od bogatszego nawet prosiaczka, jako dobrowolne ofiary za jego pracę. W noc sylwestrową młodzi chłopcy robili różne psoty i hece. Podpierali drzwi wejściowe kołkami albo zawiązywali powrozem, by gospodarz nie mógł wyjść rano z domu. Niekiedy pomysły były zaskakujące. Najśmieszniejszy był ten, kiedy w noworoczny poranek, gospodarz ujrzał swój wóz gotowy do jazdy, ustawiony na dachu

²⁹ Drumla - instrument muzyczny, nazywany czasem "harfą Żyda", pochodzący ze Wschodu, stosowany w muzyce cygańskiej.

stodoły. Chłopcy zdejmowali drzwi stodoły, bramy, rozbierali wozy na detale i wynosili 100 – 200 metrów dalej od zagrody, albo z cudzych elementów montowali całkiem inny pojazd. To stara tradycja i nikt za te przykrości się nie gniewał. Smutniejszy był ten, któremu nie wyrządzili żadnej psoty. Rano w dzień Nowego Roku chłopcy biegali do sąsiadów po „szczudrakach”, by składać im życzenia. Różne to były życzenia, a jedno z nich brzmiało tak: „Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok, by się wam rodziła pszenica i groch, buraki jak chodaki, kapusta jak pniaki. By wam się rodziła gryka, by gospodarz miał zdrowie byka. By rosła koniczyna a gospodyni zawsze młoda była jak dziewczyna. Żeby wam się cieleło, kociło, prosiło w każdym kątku po dzieciątku. Odpowiadano: daj Boże, daj Boże!” Thukli przy tym pałami w stojący w kącie jeszcze od wigilii snop zboża, aż gospodarz zadowolili ich uczciwym datkiem. Ze słomy tego snopa kręciło się „powrósła” i obwiązywało pnie drzew owocowych, by były zdrowe i obficie owocowały.

Ludność ukraińska swój Nowy Rok obchodzi 14 stycznia. Dzień poprzedzający to nasz Sylwester, a u nich tzw. "małanki" - nazwa przyjęła się od imienia Melanii. W dzień Matki Boskiej Gromnicznej należało poświęcić świecę – gromnicę. Jej światło noworodek otrzymał przy chrzcie i prowadziło go do wieczności. Miała chronić zagrodę przed uderzeniem pioruna, burzą i wichrem. Zapaloną gromnicę podawano też do ręki konającemu.

Zbliżał się Wielki Post, więc, przed nim do środy popielcowej trzeba było się „wyhulać”. A na "zapusty" pojeść lepszego jadła i wypić coś mocniejszego. Przysłowie ostrzegało: *"zapust smutny, post wesoly, cały roczek będzie goły. Więc baw się człowieku"*. Popiół sypany na głowę w Środę Popielcową nakazywał pokutę i przypominał, że *"z prochu powstałeś i w proch się obrócisz"*. A w czasie postu czterdziestodniowego, to tylko barszcz, kapusta z olejem i „kartofla w łupach” z solą i zsiadłym mlekiem.

W Niedzielę Palmową, matki, uderzając poświęconymi palmami swoje dorosłe córki, przypominały im, że czas iść za męż. W Wielkim Tygodniu, a broń Boże w Wielki Czwartek, Piątek czy Sobotę nie wolno było wywozić obornika na pole by smród z pól w tych szczególnych dniach nie unosił się w powietrzu. Przed Wielkanocą należało generalne posprzątać i obielić chałupę wapnem. Także zrobić wielkie pranie i napiec przysmaków. A w Wielką Sobotę przygotować potrawy do poświęcenia. W wielką kobiałkę wkładano babę wielkanocną z białej mąki, chleb, jaja, kiełbasę, szynkę, chrzan, sól i inne produkty. Gospodyni albo starsze dzieci niosły te boże dary do kościoła, by je poświęcić. Do święcenia potraw dziedzica ksiądz jeździł na miejsce do dworu. Tam już wszystko stało na stole przygotowane do wielkanocnego śniadania. Rezurekcja, według starej tradycji, zawsze rozpoczynała się o godz. 6⁰⁰ rano. Przedtem, uroczysta procesja kroczyła z orkiestrą i śpiewem wokół kościoła. Do dzisiaj pamiętam grzmiący śpiew licznego tłumu: *„Chrystus zmartwychwstaje, nam na przykład daje, iż my mamy zmartwychwstać z Panem Bogiem królować. Alleluja!”*

W czasie procesji i po rezurekcji tradycyjnie strzelano z moździerzy. Z pobliskich przysiółków i wsi przyjeżdżali gospodarze bryczkami i wozami. Po rezurekcji, każdy starał się przed innymi szybko dotrzeć do własnej zagrody. Od tego też

miało zależeć powodzenie w gospodarstwie. Po rezurekcji, wchodzący do swojego, czy też do domu sąsiada pozdrawiał słowami: „*Chrystus Zmartwychwstał*”. I słyszał odpowiedź – „*Prawdziwie Zmartwychwstał*”. Wyznawcy Kościoła rzymsko-katolickiego obchodzą swoje święta według kalendarza Gregoriańskiego, natomiast Ukraińcy obchodzą je według kalendarza Juliańskiego i pozdrawiali się: „*Chrystos Woskres – prawdziwo Woskres*”. Wszystkie małżeństwa mieszane i wiele ukraińskich rodzin uczestniczyło w świętach katolickich. Polskie rodziny, a także i ja z rodzicami bywałem nieraz w cerkwi prawosławnej. Dawniej odwiedzanie kościoła przez Ukraińców czy cerkwi przez Polaków, było zjawiskiem zupełnie normalnym i powszechnie praktykowanym. Wydana w 1853 roku konwencja „*Concordia*” normowała stosunki między kościołami w zakresie czynności liturgicznych, posług religijnych, obrzędów małżeństw mieszanych i stosunków między duchownymi obu religii. Odnosiła się ona do obchodów św. Bożego Narodzenia, Wielkanocy, urodzin, chrztów, pierwszych komunii św., ślubów, pogrzebów, odpustów, koledy itp.

Ze Świętami Wielkanocnymi w tamtym regionie wiąże się wiele symboli i obrzędów często mających jeszcze pogańskie korzenie. Jajko, to znak rodzącego się nowego życia. Znane było powszechnie malowanie jajek. Drugim symbolem – znakiem odradzającej się przyrody i płodności był zajaczek. Dziecko miało obowiązek przygotowania dla niego gniazda w wyznaczonym przez mamę miejscu. Tam znajdowało się jakiś prezent. Potem w tym gnieździe kwoka wysiadywała kurczęta.

Po Wielkanocy - „lany wtorek” i biada dziewczętom. Kiedy chłopczyska dopadli nieszczęsną, to zazwyczaj nie pozostawiano na niej suchej nitki. Nawet kapali je w potoku, co czasem kończyło się zapaleniem płuc. Pamiętam jak odważna dziewczyna, na białą, świąteczną koszulę chłopca wylała garnek czerwonego barszczu. Woda miała symbolizować odrodzenie się, a polewanie nią - oczyszczenie duszy i ciała. Katolicy wyznania prawosławnego na śniadanie wielkanocne spożywali paskę (pascha – bułka z pszennej mąki), gotowane jaja, słodkie ciasto drożdżowe, kiełbasy, wędliny, chleb, sól, chrzan, ćwikłę.

Na uroczystość Bożego Ciała wokół kościoła dekorowane były szczególnie pięknie cztery kapliczki. I tam wierni w ten dzień odwiedzali je z procesją. A w oktawie tego święta, święcono wianki z rozchodnika. Dymem z zasuszonego ziela okadzano zwierzęta po porodach.

Kapać się w rzece można było dopiero po 24 czerwca, tj. od św. Jana, kiedy to On poświęcił wodę w Jordanie i ochrzcił Jezusa. Popiół ze spalonego ziela (poświęconego 15 sierpnia, w dzień Matki Boskiej Zielnej) miał chronić zagrodę przed gryzoniami.

W dzień Wszystkich Świętych i w Dzień Zaduszny wszyscy odwiedzali cmentarze i podobnie jak teraz, modlili się za zmarłych i zapalali świece na grobach swoich bliskich³⁰.

Okres zimy, to młócenie zboża, przedzenie lnu, konopi, darcie piór i okazja do zabawy przy muzyce. To tu można było zauważyć, kto i do kogo „smali cholewki”. Kto, z kim stanie przy ołtarzu. Do stanu małżeńskiego chętni byli również wdowcy i wdowy. Zdarzało się, że kawaler brał wdowę za żonę, bo miała spory kawałek dobrej ziemi, ładne konie, kuźnię albo olejnicę po zmarłym mężu. Młody kawaler, tak zwany „podświnek” by zatańczyć na zabawie, musiał prosić o pozwolenie starszych kawalerów. Kawalerowie, zazwyczaj we czterech, kupowali i wypijali ćwiartkę wódki, a z tego parę kropel trzeba było uронić na ubranie, by było czuć, że pili i stać ich na „muhorycz”. Do tańca przygrywali sami, miejscowi muzykanci, na harmonii, skrzypcach, trąbce i bębnie. Innym starym i już zapomnianym zwyczajem, było wkładanie rzeczy osobistych lub ulubionych za życia do trumny zmarłego. Mogła to być brzytwa, fajka, scyzoryk lub inne. Był kiedyś taki przypadek, że kawaler zapytał młodą wdowę odprowadzającą zmarłego męża na cmentarz czy gdyby chciał się z nią ożenić to wniosła by w posagu źrebie? Źrebica musiała być bardzo piękna... Dawniej młodzi rzadko pobierali się z miłości. Małżeństwa kojarzyli rodzice lub swaci. Zamożniejsi szukali partnerek wśród równych lub bogatszych. Gospodarz upatrywał żonę dla syna i słał swata z gorzałką. Kiedy obie strony wyrażały zgodę, umawiano się o wiano panny. Panna młoda powinna wnieść spory kawałek pola, krowę, bieliznę pościelową, pierzyny, poduchy, ręczniki, własną odzież i bieliznę. Zazwyczaj rodziny były wielodzietne. To dlatego dublańskie pola gospodarzy zamieniały się w wąskie zagony. Jedno z miejscowych małżeństw aż osiemnaście razy obdarzone zostało tym „błogosławieństwem”. Mówiono „co rok to prorok”. A wykarmienie kilku „bachorów”, dla wielu już w jesieni stawało się problemem. Dlatego nawet kilkuletnie dzieci, przeważnie sieroty, szły na służbę. Zamożniejsi, czasem bezdzietni, za lichą strawę i byle jaką szmatę na grzbiet, brali biedactwo. Niewielu traktowało obce dzieci po ludzku, jak własne. Musiały pasać bydło, pracować ponad siły, spać gdzieś w oborze. Nikt ich nie posyłał do szkoły, a więc zostawali analfabetami. Gryzły ich wszy i nękały choroby. O higienie, nawet podstawowej, nie wielu miało pojęcie. Generalne mycie, w najlepszym wypadku, zdarzało się w sobotę, a w lecie kąpiel odbywała się w potoku. Prosty chłop niemający pojęcia o stomatologii usuwał zęby zwykłymi kleszczami, złamane kończyny wiązał w „łupki”, a wiejska „baba” pomagała „popsutym” dziewczynom w ich nieszczęściu. Teraz lekarze ten zabieg po łacinie nazywają *”interruptio grawidorum”*. Czyj organizm przetrzymał chorobę, ten żył dalej. Kogo było stać, leczył się u lekarzy w Samborze. Wiele osób kalekich, starców, egzystowało gdzieś w kącie obórki o „głodzie i chłodzie”, aż dobiegło cichutko swoich dni. Nowożeńcy, brali ślub w kościele, nie tak jak teraz jeszcze w Urzędzie Stanu Cywilnego. Małżeństwa mieszane albo w cerkwi albo w kościele. Ukrainiec z Polką, ślubowali w kościele, a Polak z Ukrainą w cerkwi. Ukrainkom, przed pójściem do ołtarza, matka wplatała w warkocze papierowe pieniądze. A przy

³⁰ Sposób obchodzenia Wszystkich Świętych i Dnia Zaduszego w Piaseczniku, opisałem szerzej w książce *”Historia zapisana w nazwach. Spacer Słowiańskimi ścieżkami po Dolickiej Ziemi”*, autorstwa J. Gajowniczek, Z. Dzedzej.

„oczepinach” – warkocze rozplatał brat młodej albo pierwszy družba. Przed udaniem się do ołtarza, rodzice narzeczonej i narzeczonego udzielali błogosławieństwa na „nową drogę życia”. Rodzice, jak potrafili, prostymi słowami wypowiadali słowa błogosławieństwa. Nowożeńcy, po wyjściu z kościoła obsypywani byli cukierkami i drobnymi monetami, by życie im słodko biegło i nie brakowało grosza. Młodzi w pośpiechu każdy sobie starali się zebrać jak najwięcej rozsypanych monet, by wiadomo było, kto w tym małżeństwie będzie trzymał i rządził kasą. Teraz, po amerykańsku, sypie się ryżem, by już od początku kroczyć po grudach. I to dzisiaj nie jednemu małżeństwu grozi, bo wielu z nas Polaków ubożeje.

Kiedy pobierali się bogaci, weselisko trwało kilka dni, a nawet cały tydzień. U biednych, wiadomo skromniej. Stoły zastawione jadłem zapraszały gości. Głównym napojem było piwo, a okowity raczej mało. Muzykanci grali a drużny śpiewały różne przyśpiewki, ośmieszające pana młodego, pannę młodą, a inni weselnicy starostę wesela, drużny i družbów. Tańczono w stodole na klepiskach. O północy następowały tzw. „oczepiny”, czyli zdejmowanie wianka i zakładanie czepca. Tej ceremonii towarzyszyły też różne przyśpiewki, chwalone lub ganiące stan małżeński. Panna młoda stawała się żoną. Po weselu, młodą „niwistkę” z posagiem, mąż zabierał do swojego domu. Dzieci z małżeństw mieszanych: chłopców chrzczono w cerkwi a dziewczyny w kościele. Kobieta, nosząca potomka pod sercem, była w „stanie błogosławionym”, a dziś jest w „ciąży”. Dla nie jednej jest to naprawdę „ciąża”! Zdarzyło się, że rodzice chcieli ochrzcić chore dziecko, a ksiądz katolicki nie był obecny, to ochrzcił je pop, a nasz ksiądz wypisał akt chrztu i nie było żadnych sprzeciwów ani zastrzeżeń z żadnej strony.

W zaborze austriackim dzieci wiejskie chodziły do szkoły przez dwa lata, by nauczyć się czytać, pisać i liczyć. Do lat trzydziestych szkoły wiejskie były przeważnie czteroklasowe. A w Dublanach „duża” szkoła na Horyniu była już siedmioklasowa. W śnieżne i mroźne zimy do szkoły chodzili tylko ci, którzy mieli buty. Albo w jednych butach co dzień inne dziecko. Dzieci bogatszych gospodarzy i urzędników państwowych brały naukę w Samborze. Uczniowie szkół średnich nosili obowiązkowo właściwy strój. Chłopcy: czarne buciki, mundurek i czapkę a dziewczynki też czarne buciki, fartuszek i berecik. Większość młodzieży szkół średnich codziennie dojeżdżała do szkoły pociągiem. Jeden wagon w pociągu przeznaczony był dla dziewcząt, inny dla chłopców. Dawni nauczyciele to przeważnie ludzie z powołania, może bardziej surowi i konsekwentni, ale równocześnie oddani, odpowiedzialni i głęboko zaangażowani. Samo wynagrodzenie i szacunek społeczeństwa mobilizowały do uczciwej i solidnej pracy. Starsza młodzież kształciła się w Przemyślu, Krakowie lub Lwowie. Nie jestem w stanie podać nazwisk ludzi, którzy ukończyli szkoły i pełnili ważne funkcje. Tuż przed wojną dwóch młodych kapłanów miało swoje msze prymicyjne w Dublanach, mianowicie: ks. Szkolnicki i ks. Zawadzki. A nauczycielką była Aniela Szczęsna. Starsi chłopcy oddawani byli na naukę zawodu „do terminu” u tutejszych lub samborskich rzemieślników. Uczeń terminator, w pierwszym roku u wszystkich rzemieślników był przeznaczony do pracy pomocniczej. Po prostu przynieś, podaj, pozamiataj albo do pomocy w gospodarstwie rzemieślnika. Potem przyuczany był do najprostszych prac w

zawodzie. A po czterech latach mógł zdawać egzamin czeladniczy. Po kilku następnych - na „majstra”. Mimo to było wielu zdolnych kowali, blacharzy, szewców, rzeźników czy stolarzy. Dziewczyny, to krawcowe, a w mieście niańki, kucharki, także służące u jakichś „państwa”.

Ojciec oddał syna do terminu i ten cały rok uczył się u kowala. Przyjechał wreszcie i po powitaniu zapytał: „pokaż mi synu, czegoż to już się nauczyłeś”. Chłopiec chwycił w szczypcie kawałek żelaza, rozgrzał w ogniu do białości, następnie włożył to żelazo do wody. Trzeba było aż rok praktyki, aby osiąść taką umiejętność?

Starsze dzieci pasaly bydło i konie na „tłoce”. Tam, oczywiście były różne gry, zabawy a jesienią ogniska i pieczenie ziemniaków-najlepsze na świecie, z solą i skórką domowego chleba, natartą czosnkiem. Najbardziej fascynującą zabawą były wyścigi na koniach. Od małego szkraba łobuzy na oklep gnali na koniach, jak starzy ułani z kijami, zamiast lanc, atakowali wroga i brali w „jasyr”. Taki „braniec”, skrępowany powrozem, musiał, zawsze się czymś wykupić. Konie spętane pasły się całą noc a letnie noce były tu ciepłe, więc nie jeden pasący przespał ją na pastwisku, pod derką lub kożuchem. Nasz język też wart jest przypomnienia i paru słów komentarza. Sama mowa i nazwy wielu czynności u wielu, wywołują drwiący śmiech. Ja z wielką sympatią słucham Szczepcia i Tońka (Jerzy Michotek i Zbigniew Kurtycz), prawdziwych lwowiaków i wspaniałych aktorów. Kiedy słyszę w telewizorze mowę czy śpiew „lwowiaków” z Warszawy, to wstrząsa mną. Wysłałbym ich na przeszkolenie, do przedwojennego Lwowa i polecił opiece tamtejszym batiarom. Żyło tu wiele nacji i dlatego tworzyły się słowa i powiedzenia dla nas zrozumiałe, proste, powszechnie używane (a już winnych miejscowościach mniej znane lub inaczej wymawiane). Tak na przykład w naszej wsi znane każdemu było słowo: cyncyk – coś zwisającego - frędzel; baraba – łobuz, chuligan; badziuch - brzuch; bjej – idź; błycha – pchła; brechacz – kłamca; breszysz – kłamiesz; brechnia – kłamstwo; chabaz - chwast; chabina – gałązka; ćwiryńka – narzeka bez przerwy, brzęczy nad uchem; chyrlęji – kaszle, choruje; dodnia – wcześniej rano, skoro świt; dnieje – świta; dziauka – pyskuje; łukawy – skąpy; hobłać si - drapać się; jegomość – ktoś znaczniejszy; katula si – idzie do przodu, toczy się pomału; kaparzy – partaczy, robi niechlujnie, byle jak; kałaczy – kołacze, stuka; murga – cham, gbur; paciuk, paci – prosiak, warchlak; sztyhulka – kuleje, utyka; śpiwa sabadaszki – śpiewa nie pobożne piosenki; strachopud – strach na wróble, szczybać - strącać kijem jabłka z drzewa; szmergnąć - rzucić coś; tyłepi si – trzęsie się, podskakuje na wybojach; wielebny - ksiądz (Jego świętobliwość); wykabuzać – wymieszać jak groch z kapustą; holka – tancerka albo puszczańska; pysyk, pysk – buzia, usta (daj pyska, zamknij pysyk); wysztafirować si – wystroić się przesadnie; zaszmergnąć si – zakrztusić się; wyżenić – wygnąć kogoś na cztery wiatry lub np. bydło na pastwisko; całuję rączki (jaśnie Pani) - regionalny zwrot grzecznościowy.

Z języka ukraińskiego: na pypereki – na przelaj, rezun – morderca, bandyta nożownik, brechacz – kłamca, chabaz - chwast, huropcy - wróble, małach - krętacz, barachło – stare, szmaty; swarzyć si – kłócić; huzycia - to, co każda kobieta ma między nogami.

Z języka niemieckiego zostały słowa: szrajbuj – pisze; liwerenda – licha sukienka; majszety – mankiety koszuli; cug – przeciąg; oraz nazwy wielu narzędzi rzemieślniczych, jak majzel, hebel, fuksszwanc, sztamajza, śrubstak, raszpla, waserwaga, klaister itp.

I po żydowsku: berłydyk – nakrycie głowy; pejsy – długie baki; geszeft, giszeft – pieniądze, interes; kiepele – głowa handlowa.

Inne były też dawniejsze miary. Pole mierzono w morgach. Tamtejsza austriacka morga, to 0,57 ha. Towary ważono w funtach. Jeden funt = 0,5 kg. Zboże w korcach. Korzec to 2 korczyki lub 32 garnce. Garniec to 4 litry, a kwarta to ¼ garnca. Jedna mila galicyjska to 7,5 kilometra.

Piwo karczmarz sprzedawał w kuflach nazywanych „halba” (z j. niemieckiego halbe, ein halb = ½ litra) kufel = 0,5 litra.

Tu opowiem jeszcze jedno zdarzenie. Mąż pijaczyna przyrzekł żonie, że już nie będzie pił wódki. Ale wilka ciągnie do lasu. Wieczorem przeszedł się koło karczmy. Potem zajrzał do niej raz i drugi, posiedział w kącie zamyślony i smutny. Wreszcie Żyd - karczmarz zdziwiony jego abstynencją pyta: „Co tobie Jaśku? Chory jesteś czy co u licha – nie pijesz, nie śpiewasz?”. „Gorzej karczmarzu odpowiada Jaśko. Przyrzekłem babie, że nie będę już pił”.

Karczmarz podrapał się po głowie zafrasowany, bo tracił dobrego klienta. Ale, od czego żydowski handlowy kiepele. Postawił przed nim talerz, dał do ręki łyżkę i nalał do niego gorzalki. Na wymówkę żony, że złamał przyrzeczenie i znowu się napił, odpowiedział: „Nie piłem, tylko łyżką jadłem”.

Przypomnę też kilka powiedzeń u nas często używanych: co masz zjeść dzisiaj, to zjedz jutro, a co masz zrobić jutro, to zrób dzisiaj; cyganisz - kłamiesz; kiedy Pan Bóg chce kogoś pokarać, najpierw mu rozum odbiera; smak nie smak, aby kiszka jak kimak; pracuje na zjedzony chleb (odpracowuje to, co już otrzymał akonto); rozpuszczony jak dziadowski bicz (czyli nieposłuszny, krnąbrny); za moje dobro, kolka w ziobro; jaki rząd taki urząd; nie rób z pyska cholewy; poznasz pana po cholewach; za pan brat świnia z pastuchem - spoufalenie się z kimś ważniejszym.

I jeszcze jedna opowieść:

Umierający ojciec przywołuje syna do łóża i mówi: „Pamiętaj synu, byś zawsze w nowych butach chodził, a ludzie tobie mają mówić: Daj Boże szczęście, kiedy będziesz pracował na polu”. Kilka lat musiało minąć minęło, nim syn pojął mądrość ojcowskiej nauki. Tajemnica tego pouczenia jest prosta. Buty szanuj i czyść, to będą wyglądały jak nowe i będą długo służyć. Do pracy w polu stawaj przed wschodem słońca, byś był pierwszy przed innymi, to oni przechodząc, będą cię pozdrawiać - Daj Boże szczęście.

Podam tu ceny niektórych produktów spożywczych wg rocznika statystycznego z 1939 roku.

chleb	za 1 kg	0,30 zł.
mąka pszenna	„	0,40 „

ziemniaki	„	0,08 „
mięso wołowe	„	0,80 „
mięso wieprzowe	„	1,30 „
szynka wieprzowa	„	4,00 „
słonina	„	1,65 „
jaja	„	1,35 „
cukier	„	1,00 „
węgiel	„	0,48 „
nafta	za 1 litr	0,34 „
mleko	„	0,21 „
dobry garnitur	szt.	100,00 „
półbuty z giemy	za parę	12,00 „
Dobry lekarz w mieście	zarabiał	1000,00 „ miesięcznie.

6 FOLWARK

Ziemianin Celestyn Sozański miał duży, nowoczesnie prowadzony majątek rolny w Hordyni. Był człowiekiem skromnym i życzliwym. Nigdy nie jeździł paradną bryczką, ale zwykłym lekkim wozem. U niego ubogi i żebrak zawsze mogli liczyć na darmowy posiłek i datek kilku groszy. Żaden proszący nie odszedł bez wsparcia. Zatrudniał dwóch ekonomów, pan Bek pochodził z Kornalowic. Po śmierci pana Sozańskiego pełnił funkcję wójta w Dublanach (zamordowali go Ukraińcy). W okresie wzmożonych prac polowych ekonom wychodził wcześniej rano (ok. godz. 5⁰⁰) na pagórek na błoni i donośnym głosem wołał: „Do Hordyni dwunastu chłopów z kosą i dwadzieścia kobiet z sierpem do pszenicy”. Natomiast jesienią „do kopania kartofli”, tu wymieniał liczbę kobiet potrzebnych do pracy na dany dzień. Jego głos niesło echo daleko po przysiółkach, a kto chciał pracować, spieszył zarobić parę groszy (płacono wtedy jedną złotówkę za dzień pracy). Wzdłuż całej drogi z Hordyni do Kornalowic (ok. 3 km) rósł wielohektarowy, wiekowy las dębowy dziedzica Sozańskiego. W tym lesie stał też jeden bardzo stary, potężny dąb w środku spróchniały. Dziedzic kazał wypełnić ubytki zaprawą murarską, konary natomiast podeprzeć by przedłużyć mu żywot. Teraz ludziom drzewa przeszkadzają i chcieliby je wszystkie powycinać. Tylko nowych nikt nie sadi! Inne jego lasy nazywano: Osikowiec i Oleszowski. Często gościami u niego byli profesorowie i studenci Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, z którymi się przyjaźnił i współpracował. Po jego śmierci, (marzec 1939 roku) majątek zapisem testamentowym został przekazany Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Zmarł w marcu 1939 r. I odtąd profesorowie i studenci

akademii byli częstymi gośćmi w tej posiadłości. Drugi majątek ziemski był w Kulczycach.

Niemcy od 1941 r. wycinali wybiórczo pojedyncze dęby, a w zimie z 1944 na 1945 Rosjanie wycięli cały ten las, zostawiając pnie sięgające kolan. Gospodarze dublańscy w przymusowych „normach” musieli wywieźć te piękne dęby z lasu i załadować je na wagony. Ścięty dąb, mierzący ponad dwa „kubiki” (tj. m³), kładziony był na dwóch saniach (jedne z przodu a drugie na końcu kłoca). Para koni mogła uciągnąć tylko jeden pień.

7 WOJNA 1939 R.

II wojna światowa spadła nagle, otoczyła naród polski siecią zakazów, nakazów i zobowiązań. Ludzie zmagali się z trudną rzeczywistością. 1 września ogłoszono odezwę Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego:

„Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec Państwa Polskiego, co stwierdzam wobec Boga i historii. Europa środkowa została rozdarta wojną i niepokojem, terroryzowana reżimami, znękana przemocą”.

Kilka tytułów z gazet: „Polska czeka gotowa z bronią u nogi”. (Wieczór Warszawski – 31 sierpnia). „Rozbójnicy świata – Niemcy napadli na Polskę”. (Kurier Czerwony - 1 września). „Bunt ludności gdańskiej” (Wieczór Warszawski – 1 września). Ekspres Poranny, 4 września. „Francja i Anglia u boku Polski. Wczoraj weszły w stan wojny z Niemcami. Polska walczy dalej”. (Dziennik Chicagowski – 19 września). „17 września niemieckie samoloty bombardują Sambor i Drohobycz”.

Oto zasób sił, jakimi dysponowały strony w dniu pierwszego września 1939 r.:

Niemieckie siły zbrojne liczyły 1,85 miliona żołnierzy, wyposażone były między innymi w 2,7 tysiąca czołgów, mniej więcej 10 tysięcy dział i moździerzy oraz około 2 tysięcy samolotów. Polska mogła im przeciwstawić około jednego miliona żołnierzy, 670 czołgów (przeważnie lekkich i rozpoznawczych) oraz samochodów pancernych, 4,3 tysiąca dział i 400 w większości przestarzałych samolotów bojowych.

W niedzielę 17 września rano, na dworzec kolejowy w Dublanach wjechał pociąg z polskim wojskiem. Był to samodzielny batalion i prawie wszyscy żołnierze pochodzili z Sanoka i okolic. Około godz. 6 rano wojsko opuściło wagony i podjęło marsz w kierunku wsi Horodyszczce. Nieśli moździerze i broń ręczną. A tamta wieś była już zajęta przez Niemców. Dublański Ukrainiec (inni twierdzą, że Niemiec) pędził na koniu przez łąkę, by zawiadomić Niemców w Horodyszczce o przybyciu polskiego wojska. Polacy oddali do niego kilka strzałów, ale jeździec umknął. Tylko biegnące obok źrebię padło zastrzelone. Kiedy nasze wojsko weszło na odkryty pagórek „na Błoniach”, zostało zaatakowane ogniem niemieckich karabinów maszynowych. Gdzieś z ukrycia strzelali do nich też

Ukraińcy, których nasi uciszyli kilkoma pociskami moździerzowymi. Polacy bronili się. Ale byli mniej liczni i słabiej uzbrojeni, więc około godz. 12.00 wycofali się, zabierają rannych kolegów. Ciężko rannego kapitana zostawili w chałupie u Szkolnickiego. Odeszli w kierunku wsi Kończaki i dalej przez Tatary do granicy rumuńskiej. Tego samego dnia wieczorem wojska niemieckie weszły do Dublan. Na polu zostało siedemnastu (wg innych – trzydziestu) zabitych, naszych żołnierzy. I tam zostali pogrzebani. Rannego kapitana, Niemcy zaraz zabrali i nie wiem, jaki los go spotkał. W październiku groby odkopał „Sobko” a dokumenty poległych pozbiierał Józef Paliwowa, który powiadomił rodziny z najbliższych miejscowości. Przyjechali i zabrali ciała swoich krewnych na własne cmentarze. Pozostali, godnie, w trumnach, pogrzebani zostali wspólnie na wiejskim cmentarzu w Dublanach.

Wojska niemieckie dotarły pod Lwów już 12 września 1939 r. Daremnie próbowali go zdobyć, miasto broniło się dzielnie i skutecznie. Niemcy ponawiali ataki, które były skutecznie odpierane. Siedemnastego września przekraczając granicę polsko – sowiecką na rzece Zbrucz, na tereny polskie wkracza Armia Czerwona. Podchodzą pod Lwów z drugiej strony i już razem z Niemcami przystępują do wspólnego szturmu. Obrońcy wykorzystują przybycie parlamentarzysty rosyjskich negocjują honorowe warunki kapitulacji (22 września), których bolszewicy, niestety nie dotrzymali. Obrońcy Lwowa uzyskali zgodę na swobodne opuszczenie miasta przez wojsko i policję. Mieli złożyć broń i w zwartych szeregach wymaszerować ulicą Łyczakowską. Przedtem jednak krasnoarmiejcy wpadli do miasta i rozbijali żołnierzy, spędzali w zwarte kolumny, otaczali kordonem i już, jako jeńców gnali do Tarnopola i dalej pociągami do Rosji zamiast do Rumunii i Węgier. A wojska niemieckie w tym czasie wycofały się za Bug.

Tego samego dnia (17 września) Michaił Kowalow wystosował odezwę do żołnierzy polskich, którą niżej cytuję (pisownia oryginalna):

„Rzóżnierze Armii Polskiej. Pańsko – burżuazyjny Rząd Polski, wciągnąwszy Was w awanturystyczną wojnę, pozornie przewaliło się. Ono okazało się bezsilnym rządzić krajem i zorganizować obronę. Ministrze i gienierałowie, schwycili nagrabione imi złoto tchórzliwie uciekli, pozostawiają armię i cały lud Polski na wolą losu. Armia Polska pocierpięła surową porażkę, od którego ona nie oprawić wstanie się. Wam, waszym żonom, dzieciom, braciom i siostram ugraża głodna śmierć i zniszczenie. W te ciężkie dni dla Was potężny Związek Radziecki wyciąga Wam ręce braterskiej pomocy. Nie przeciwcie się Robotniczo – Chłopskiej Armii Czerwonej. Wasze przeciwienie bez korzyści i przerzedzono na całą zgubę. My idziemy do was nie jako zdobywcy, a jako wasi braci po klasu jako wasi wyzwoleńcy od ucisku obszarników i kapitalistów. Wielka i nie zwolczona Armia Czerwona niesie na swoich sztandarach pracującym, braterstwo i szczęśliwe życie. Żołnierze Armii Polskiej! Nie proliwacie doremnie krwi za cudze Wam interesy obszarników i kapitalistów. Was przymuszają uciskać białorusinów, Ukraińców. Rządzące koła Polskie sieją narodową różność między polakami, białorusinami i Ukraińcami. Pamiętajcie! Nie może być swobodny naród, uciskające drugie narody. Pracujące białorusini i ukraińcy – Wasi pracujące, a nie

wrogi. Razem z nimi budujcie szczęśliwe dorobkowe życie. Rzucajcie broń! Przechodźcie na stronę Armii Czerwonej! Wam zabezpieczona swoboda i szczęśliwe życie.

Naczelný Dowódca Białoruskiego frontu Komandarm Drugiej Rangi Michał Kowalów”.

Tego samego dnia (17 września roku 1939) przemówił przez radio przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych ZSSR W.M. Mołotow.

Jednym z następnych bolesnych ciosów było aresztowanie, wywiezienie i wymordowanie prawie wszystkich profesorów dziesięciu wyższych uczelni lwowskich oraz znacznej liczby inteligencji. Uczelnie te dały wielu wybitnych ludzi. Absolwentów było wielu, mądrych, prawych i szlachetnych, zawsze wiernych lub zawsze gotowych. *Semper fidelis* – głosiła lwowska uczelniana maksyma. Rosja, kraj rządony przez zbrodnię, niesprawiedliwość, kłamstwo i przymus kłamstwa. Rozmowa jest konspiracją, myślenie buntem. Przez wieki zachodowi imponowało tylko rosyjskie bogactwo i nieprzebyta przestrzeń. Rosjanie natomiast upodobali sobie wszystko, co błyszczący. Wystarczy by było z zachodu, przepych biorą za wytworność, blichtr³¹ za ogładę. Brak wolności, upadek praw, chamstwo, brud, zapite mordy, fałsz i strach. Kraj wielu narodów i plemion, religii, mnóstwa języków, ludzi szczęśliwych, gdy mają czarny chleb, sało i samogon.

Polacy nie szczędząc ofiar i krwi zdobywali się na najwyższy wysiłek i poświęcenie. Tymczasem sojusznicy zawiedli i opuścili nas od samego początku, w najbardziej haniebnym w historii sposób. Bierność, zdrada Anglii i Francji na pewno miały wpływ na przedłużenie wojny i straszliwej hekatombi. Stąd mamy żal do sojuszników za to, że nas porzucili i nie odwdzieczyli się za nasz wysiłek wojenny i przelaną krew w obronie i ich krajów. Nikt nie upomniał się o ich miejsce w nowej Polsce. Nie można zapomnieć także Teheranu, Jałty i Poczdamu.

Od wieków ze wschodu waliła do nas dzicz, a wraz z nią przemoc, gwałty, mordy i wszelkie możliwe szkany, jakie tylko powstały w ludzkiej mózgowicy i człowiek potrafił wymyślić. Teraz dzicy przybyli z Azji rosyjskiej i Europy Wschodniej. W naszej wsi Rosjanie zjawili się 22 października. Najpierw piesi zwiadowcy. Zaraz za nimi większe grupy na koniach albo małych wozach zaprzęgniętych w jednego konia. Uwagę zwracały ich małe, ale bardzo wytrzymałe koniki oraz szpiczaste czapki żołnierzy z krótkimi daszkami, o twarzach ciemnej karnacji i skośnymi oczami. Szpice na czapkach podkreślały jeszcze bardziej ich dziki wygląd. Kobiety wiejskie widząc pierwszy raz takich ludzi pytały, ditko to czy Pohaniec jakiś? Ci byli najokrutniejsi i bezwzględni. Strzelali do wszystkich zagląających z za domów, okien czy opłotków. Zdumieni ludzie patrzyli na nich z obawą i podziwem. W ich różnych twarzach widać było lęk przed własnymi dowódcami. I wielu zadawało sobie pytanie czy ta chmara żołdatów świadomie wykonywała rozkazy. Byli rozdrażnieni i rozwścieczeni. Czy na pewno wiedzieli, kim są ich „nieprzyjaciele”, Kogo mają atakować, zabijać?

³¹ Blichter (blichter). Powierzchnowa wspaniałość, świetność.

Skąd oni sami przyszedli i przeciw komu ich posyłano? Czy można się dziwić, że żołnierz bez dłuższego namysłu, bez uwalniania się od niepokojących wątpliwości strzela do mężczyzn, kobiet dzieci?

Już jesienią 1939 roku odczuliśmy ciężar sowieckiej władzy. Rosyjski NKWD zaczął wielkie aresztowania. Funkcjonariusze w skórzanych, czarnych kurtkach, rozparci na wygodnych siedzeniach jeździli po terenie bryczkami zaprzęgniętymi w dorodne konie. Byli to ludzie, którzy zabili w sobie człowieczeństwo i Sowietom ufali. To oni polowali, osaczali i znęcali się nad człowiekiem ogarniętym śmiertelnym lękiem. Opanowali to rzemiosło do perfekcji. Przeważnie byli to kryminaliści, ludzie Stalina. (Przypomnę: NKWD w 1940 r. miało na terenach okupowanej Polski trzysta swoich pułków). Jako pierwsi aresztowani byli żołnierze WP z kampanii wrześniowej, policjanci, leśnicy, ziemianie, nauczyciele, urzędnicy i duchowni. Potem zwykli mieszkańcy, czasem nieco bogatsi, według Rosjan – „kułaki” a przeważnie niewinni ludzie, wskazani przez donosicieli z zazdrości lub w zemście za dawne często urojone krzywdy. Takich denuncjatorów musiało być wielu, bo z terenów przedwojennej Polski wschodniej, już do 10 lutego 1942 wywieziono około 126 000 osób. Tutejsi aresztanci osadzani byli w więzieniach w Samborze i Drohobyczu na „Brygidkach” (klasztor sióstr św. Brygidy), następnie bydłocymi wagonami byli wiezieni za Ural w bezkres azjatyckiej Rosji, hen na rozległe tereny Syberii. Wieziono na wygnanie, poniżenie i śmierć. Drugim celem było sprofanowanie tego, co dla Polaków najważniejsze i najdroższe, czyli: wiary, Boga, Honoru i Ojczyzny. Rzucić naród na kolana, zaszokować, naruszyć godność, obrazić i najboleśniej poniżyć. Rosjanie mieli już gotowe listy mieszkańców przeznaczonych do wysiedlenia. Aresztowano też członków polskich, przedwojennych organizacji patriotycznych, zazwyczaj wrogich komunizmowi. Rosjanie zabili wielu ludzi bez żadnego powodu, wystarczyło, że było się Polakiem albo miało się delikatne, zadbane dłonie. Nocą otaczali chatę i w brutalny sposób wywlekali z łóżek. Bili, kopali, walili kolbami gdzie popadło. Wypędzali na mróz i niewielu miało czas sporządzić jakikolwiek węzełek podróży. Więzionych, podejrzanych o cokolwiek, przesłuchiwali i torturowali w okrutny i wyrefinowany sposób. A zmasakrowane ciała pomordowanych zakopywali w pobliskich lasach. Z Dublan aresztowali kilku mężczyzn, (około dwunastu osób) właśnie żołnierzy WP. Los ich jest niestety nieznan. Takim masowym grobem, gdzie nie tylko grzebano, ale również rozstrzelano wielu, jest las koło Liszni w pobliżu Drohobycza. Pod wpływem terroru, strachu przeobrażają się obyczaje narodu, zmieniają się morale. Bolszewizm uwolnił ludzi od wiary, prawdy i dobra. Wyzwolił w człowieku złe instynkty, popękały opory i święte niegdyś zasady. Niegodziwość, kłamstwo, donos to znamiona cnót obywatelskich a wszystkie złe uczynki stały się zasługami. Moralność, rzetelność, honor, grzeczność, uprzejmość, dobre obyczaje to cnoty nagle zapomniane. Zapanował strach i terror. Kto poznał wspomnienia bodaj jednego łagiernika sowieckich obozów, ten poznał ich aparat przemocy, sposób niszczenia ludzi i niewiarygodne metody przesłuchań stosowane przez czerwony reżim rozbudowany tak, że potrafił penetrować po wojnie we wszystkich sześciu krajach tzw. obozu socjalistycznego. NKWD miało szpicli w każdej miejscowości. Ludzie oskarżani byli o wszystkie możliwe przestępstwa, co sprawiło, że 90%

więzionych cierpiało bez żadnej winy. Na wschodnich terenach Rosji, tuż po wojnie w tzw. spec łagrach osadzonych było aż 13 milionów ludzi z różnych krajów, tylko jako przestępcy polityczni. Umiejętnością jest poznać rosyjską duszę, pełną sprzeczności, tajemniczą; duszę nienasyconego barbarzyńcy, z którym przyjaźń jest bardziej niebezpieczna, niż jawna wrogość. Niektóre źródła podają, że w czterech wielkich akcjach w lutym, marcu i czerwcu 1940 roku deportowano 327 000 osób ze wschodniej Polski. W pierwszej deportacji 10 lutego 1940 roku, której się nikt nie spodziewał, wywiezieni zostali sami intelektualiści. Wyznaczona do wywózki rodzina miała kilka minut na zabranie najniezbędniejszych rzeczy. Przepadły całe rodziny, nawet niedołęzni kalecy, starcy, brzemiennie matki a sąsiedzi zapomnieli ich nazwisk i nikt już ich nie wpisze na listę osób zaginionych. Począwszy od rewolucji 1917 roku, Rosja sowiecka została ogromnym aparatem przymusu stworzonym przez partię komunistyczną. A tajna policja Rosji sowieckiej a później również ZSRR służyła jako ogromna machina likwidacji milionów ludzi. Żaden cywilizowany kraj nie stworzył nigdy czegoś podobnego, co można by porównać z siłami bezpieczeństwa ZSRR, a później też Gestapo w nazistowskich Niemczech.

Naczelnikiem poczty był Władysław Szczepański. Kiedy zawładnęli nią Rosjanie, poczta stała się ważnym urzędem i pracowała na zmiany pełną dobę. Jeden pracownik trwał zawsze przy telefonie. Pracowało wielu, mężczyźni i kobiet: Icek Gidał, Aniela Szczęsny, Ukrainiec Wania (dobry człowiek, bo zawsze ostrzegał, że ściany mają uszy) i Skotnicki, odpowiedzialny za sprawność linii telefonicznych. Jedynym Rosjaninem był naczelnik, człowiek służbowo odpowiedzialny za tajną korespondencję. Odbierał pocztę z pociągu i tylko on jeden miał dostęp do sejfu. Przed wycofaniem się Rosjan zawartość sejfu dziewczyny z poczty odniosły i oddały do NKWD, a mniej ważne dokumenty pracownicy poczty pod nadzorem Rosjan spalili na miejscu. Już w 1940 roku zgodnie ze zwyczajem sowieckim zorganizowany został pierwszomajowy pochód z czerwonymi sztandarami i hasłami. Polacy, pracujący w sowieckich urzędach przynaglani nakazami do osobistego uczestnictwa, bardzo niechętnie i z żenadą brali w dłonie portrety rosyjskich brodatych i wąsatych „bożków”, czerwone sztandary i transparenty. A znający Rosjan doświadczeni ludzie między innymi ów Wania ostrzegali, „bierz, nieś, co ty robisz, nie szukaj sobie biedy”. Polacy wstydzili się współmieszkańców, bo to zdrada wiary i ojczyzny. A trzeba było przejść gościńcem prawie przez całą wieś, także przed kościołem i plebanią. Zatrwożona i oburzona ludność przyglądała się tym demonstracjom zza zamkniętych okien. Wielu Polaków, mężczyzn, roczników poborowych wzięli do Armii Czerwonej. A po inwazji Niemiec na Rosję mężczyźni ci zasilili karne bataliony robocze, bo nasz kraj wszedł w stan wojny z Rosją. A kiedy zaczęła tworzyć się Armia Polska w Rosji, to właśnie oni pierwsi zasilili szeregi armii Andersa.

Już jesienią 1939 roku Rosjanie wprowadzili tzw. „normy”. One sprawiły, że obowiązek prowadzenia gospodarstw spadł na barki kobiet. Gospodarze, mężczyźni wraz z zaprzęgiem wyjeżdżali (nieraz na miesiąc) do różnych prac daleko poza miejsce zamieszkania, m.in. do Starzawy, oddalonej od Dublan o około sześćdziesiąt kilometrów. Do naszej wsi natomiast, do podobnych prac, przyjeżdżali ludzie z innych, odległych wsi (nawet Bojki lub Łemki z południa,

gdzieś z Karpat). Na solidną pracę w polu chłopci nie mieli czasu. A jesienią padały ulewne deszcze i sprawiły, że na polach z oziminą tworzyły się zalewiska i zboża przepadły. Stąd też w 1940 roku plony były liche. A po zbiorach, Rosjanie zabrali wszystko, co udało im się znaleźć. Ludzie zakopywali zboże w drewnianych skrzyniach lub w workach w ziemi. Komu udało się przechować, to po odkopaniu stwierdzali, że spleśniało i na nic się nie nadaje. A innym w nocy złodzieje wykopali i ukradli. Nastął głód. Młodzi i niedawno zdrowi ludzie stawali się starcami. Puchły stawy nóg, plecy się garbiły, uwydatniały się brzuchy i chodzić było trudno. Prawie codziennie kogoś grzebano. Ciała zmarłych z głodu puchły do niesamowitych rozmiarów. Nim położono wieko na trumnę, nie jednego trzeba było krępować sznurami, by się, jako tako zmieścić. Ci, co doczekali wiosny, żywili się szczawiem, lebiodą, pokrzywami i zmarzniętymi ziemniakami wygrzebanymi z kartofliska. Nawet dzieciom rodzice kazali dłużej spać, by mniej jadły. Chudoba też kapała. Nawet słomy na sieczkę nie było. Strzecha z dachu była cenną paszą dla bydła. Wiosną krowinę z obory wynosili na płachcie, by skubała trawę. Wiosną 1941 r. sadzono obierki ziemniaczane z oczkiem kiełka. Całych bulw nikt nie sadził, bo w nocy, głodni wykopaliby je i zjedli. Ale ziemniaki urosły piękne nad podziw. Przez całą wojnę brakowało żywności i wielu cierpiało głód. Byli i tacy, co twierdzili, że dla ruskich nie będą siać ani sadzić. Ci najwcześniej odczuli skutki swojej decyzji i powiększali rzesze głodnych. Piszę o tym głodzie i myślę sobie, kto dziś tego chleba, bożego daru nie szanuje, powinien bodaj jedną taką głodną zimę w życiu przeżyć, by nabył szacunku dla wyrzuconej bezmyślnie kromki, a także i dla ludzi, którzy ten chleb produkują. By ziarno nie leżało rozsypane po drogach, przez nieodpowiedzialnych i niechlujnych przewoźników. Kiedyś z szacunkiem całowano ową „kruszynę” podniesioną z ziemi. Teraz całe bochny spotyka się w śmietnikach. Oj rozbrykał się Polakom chleb, rozbrykał! Albo przejadł się i nie smakuje. Jesienią i w zimie, w czasie głodu, do Dublan przyjeżdżali Łemki z gór, przywozili suszone huby (grzyby) i prosili w zamian o garstkę ziarna dla swoich głodnych dzieci.

Z Rosji docierały wiadomości o „dobrobycie i dostatku” jaki tam panuje. O wielkich wspólnych gospodarstwach rolnych tzw. kolchozach. Ludzie doskonale wiedzieli, że w tych kolchozach jest wielka bidusia, a całe wsie wymierały z głodu. Kłamstwo przysłańiało złowrogą i straszliwą rzeczywistość. Ci ludzie tak samo jak my, mieszkają w drewnianych chałupkach pokrytych słomianą strzechą, w izdebkach o małych oknach, głodni i brudni. Zapamiętałem fragment piosenki śpiewanej cicho przez Polaków znających prawdę o tych właśnie sowieckich kolchozach i wtedy bardzo lubianej. *„A w kalchozie charaszo, tolka kuszat' nima szczo. Ni karowy ni swini, baćko Stalin na stini”*. Przychodzi mi ciągle na myśl ten obiecany przez Lenina dostatek *„bieluj chleb, sachar, sało i wsiewo skolka ugodno”*, pewnie i płoty w Rosji miały być grodzone kielbasą *„tolka lzia ljubiezno padażdat' i oczeń mnoga rabotać”*.

Jeszcze większy głód przeżył naród ukraiński na początku lat trzydziestych, kiedy to Józef Stalin na XVI Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, w dziesięciogodzinym przemówieniu zapowiedział walkę z kulakami i tworzenie gospodarki kolektywnej. A człowiekiem szczególnie

zasłużonym w jej przeprowadzeniu wyróżnił się Nikita Chruszczow. W ślad za zapowiedziami poszły czyny. Przytoczę opowiadanie pani Róży teraz mieszkającej w Szczecinie (jest to streszczenie wywiadu - Kurier Szczeciński drugi luty 2007 roku) urodzonej w Besarabii (w pobliżu Odessy, gdzie ziemia jest nadzwyczaj urodzajna i ludziom żyło się dobrze) w chutorze Anatoliwka w 1925 roku w rodzinie zamożnego ziemianina. Liczni agitatorzy zaczęli namawiać ludność do zawiązywania wspólnych gospodarstw. Ludzie nie zgadzali się, więc ich przymuszono. Wojsko pod nadzorem komisarzy zabrało wszystko, dosłownie wszystko, co wpadło w ich ręce. Zboże, ubrania, naczynia, odzież, bydło, sprzęt gospodarski, nawet siano; zrywali obrazy ze ścian, wycinali drzewa w sadzie. W pustych chatach zostali tylko ludzie. Ci, co przewidzieli na co się zanosi ziarno ukryli. Ale za ukrycie czegokolwiek wywożono i taki człowiek już nigdy nie wracał. A jak żona poszła do miasta dopytywać się o męża, to i ona nie wróciła. Surowo zabroniono ludziom opuszczania miejsca zamieszkania. Wszędzie w terenie postawione były „wyżki” – wieże, gdzie uzbrojeni najwięksi bandyci wypuszczeni z więzień strzegli, aby nikt nie zebrał resztek kłosów ze ścierniska. Ludzie żywili się zielenizną, korzonkami, liśćmi z drzew a najpożywniejszym było ziarno konopi, które jako bardzo plenne tam rosły. Panował niewyobrażalny głód. Do dziś nie wiadomo ilu zamordowano, ilu zamorzono głodem a ilu wywieziono na Syberię. Po pewnym czasie uznano, że ludzie dojrzelili do kolchozów. Postawiono wielkie baraki, poprzedzielano ściankami z tektury, każdemu wyznaczono kąt i kazano nazajutrz zgłosić się do pracy. Kto będzie pracował będzie dostawał jedzenie. Wszyscy posłuchali i rzeczywiście każdy dostał trochę zboża i otrąb. Strach jednak był. Ludzie bali się „czornych woron”, samochodów ciężarowych pomalowanych na czarno, bo te zjawiały się zniemacka i ludzie w mundurach zagarniali, kogo popadnie. Brakowało wszystkiego, szczególnie ubrań. Ludzie chodzili półnagzi, wynędzniali. Kolchoźnik raz do roku dostawał kufajkę, watowane portki i gumowe buty z brezentowymi cholewami...

"Na peredi prapor, na prapore gwizda, sława, sława Stalinu wże giermana nyma. Świtet wisit nad zaraniu, wstń Chmielnickij, wstań Bohdanu, powstawajtie wsie hetmany, dajtie wolju i swabodu ukraïnskomu narodu. Taj kajdany treba rwaty ukaińskije dieti. Wijet witer doszcz padaje, Woroszyło hnoj weze, Stalin płaczet, szczo komuny ne bude!"

Jeszcze jedna piosenka, trochę swawolna, mówiąca o wspólnocie kolchoźników.

Tańczuj bracie fajnie, gdy harmoszką gra, bierz babę pod pachę, Bóg ci zdrowie da. Zamieszkamy razem, wszyscy w jednym siole. Będą wspólne baby, wszystkie rozmłócone jak snopy w stodole. Będzie wspólny kocioł. Żebyś się nie przeżarł – miski jednakowe.

W czasie wojny sowieckie kobiety i starzy mężczyźni uprawiali ziemię i produkowali chleb, tam kobiety pracowały w zakładach zbrojeniowych i fabrykach. Cóż miały począć? Wojna ma swoje prawa, poniża i gubi narody, obraca w niwecz dobra, nakazuje wzajemnie się mordować, niszczyć moralność i dobre obyczaje. Wymaga wielkiego poświęcenia i wielu ofiar. Obłądna rzeczywistość tamtych czasów. Boże miej nas w swojej opiece, bo zbliża się kres,

naród stara się przetrwać śmiertelny kryzys. Kiedy Rosjanie opuścili Dublany to w piwnicy budynku gdzie rezydowało NKWD znaleziono martwych ludzi przedtem aresztowanych, upchanych tak ciasno, że martwi a stali. Jednego z tych nieszczęśników córka poznała po długiej drodze (Zarzycki). Wszyscy umarli z głodu. Rosjanom służyli szczerze niektórzy polscy Żydzi – policjanci. I oni mieli w tym morderstwie swój udział.

8 TAK BYŁO W DUBLANACH

A jak było we Lwowie? Przytoczę tu opis masowego mordu dokonanego przez Sowietów na więźniach w chwili zbliżania się wojsk niemieckich na podstawie książki: „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów”, wydanej przez „Gryf Londyn” w 1948 roku. „Część więźniów ewakuowano a pozostałych NKWD wymordowało w okrutny sposób w celach i piwnicach więziennych. Więzienia lwowskie mieściły się, jedno przy ul. Kazimierzowskiej tzw. Brygidki, a drugie przy ul. Zamarstynowskiej. Prócz tego w czasie okupacji sowieckiej budynki policyjne przy ul. Łąckiego oraz Jachowicza zamieniono na więzienie. We wszystkich tych więzieniach, które NKWD przed opuszczeniem miasta podpaliło, ludność z przerażeniem odnajdywała zwalony trupów pomordowanych więźniów. Według miejscowej opinii liczba ich sięgała kilku tysięcy. Propaganda niemiecka wyzyskała te fakty okrucieństwa bolszewickiego, zamieszczając w prasie obszernie opisy i fotografie. Wszystkie relacje Lwowian, obecnych w tym czasie na miejscu, potwierdzają fakt podpalenia więzień i wymordowania więźniów przez Sowietów przed opuszczeniem miasta”.

W archiwum polskich władz wojskowych (autorzy nie podają konkretnego adresu) znajduje się m.in. następujące zeznanie świadka:

(...) "W nocy z piątku na sobotę Sowietci opuścili Lwów, przy tym podpaliли więzienia przy ulicy Kazimierzowskiej i kilka budynków, w których koszarowało NKWD. W sobotę w mieście doszło do rabunków, rozbijano sklepy i magazyny, w których były jeszcze polskie towary przedwojenne. Miasto zostało bez żadnej opieki, a Niemców nie było jeszcze widać. Ludzie również pootwierali więzienia, aby oswobodzić więźniów, w celach było po kilkanaście więźniów, natomiast w piwnicach leżały całe stosy pomordowanych, drzwi i okna bolszewicy zamurowali. Oglądałem więzienie przy ulicy Zamarstynowskiej, w którym zebrało się bardzo dużo ludzi, przeważnie najbliższe rodziny pomordowanych, którzy szukali swoich krewnych. Odór trupi był straszny, z chusteczką przytkniętą do nosa udało mi się wejść na pierwsze schody, które wiodły do piwnic, następnie musiałem się cofnąć, niektórzy ludzie wchodzili do środka. W sobotę wieczorem około godziny siódmej stałem z kolegami przy szosie Zamarstynowskiej, wtem od strony Hołoska zbliżał się patrol niemiecki. (...) Za niecałą godzinę poczęły wjeżdżać pierwsze czołgi i auta. Oddziały, które wkroczyły do Lwowa składały się w większości z dywizji strzelców górskich, w których w większości służyli Austriacy. (...) Niemcy podburzyli ludność na Żydów, przypisując im współdziałanie z bolszewikami w morderstwach popełnionych w więzieniach.

Żołnierze pomagali ludności w pogromie, przy tym dochodziło często do rabunku mieszkań żydowskich. Ludność cywilna wyciągała Żydów z mieszkań i prowadziła do więzień, gdzie musieli z piwnic wyciągać trupy. (...) W mieście formowano Żydów w czwórki, (i kazano) maszerować, śpiewać rosyjskie pieśni marszowe i wznosić okrzyki na cześć Stalina. Na podwórzu więziennym panował krzyk i płacz nie do opisania. Żydzi wynosili skrwawionych i układali ich jeden obok drugiego, ludzie zaś rozeznawali znajomych i najbliższych. Więźniów trudno było rozpoznać, ponieważ większość miała zniekształcone twarze. Krewni i znajomi rozpoznawali ich po ubiorze. Autor tej relacji rozpoznał swoich kolegów i dwóch braci Tabinów aresztowanych dwa dni przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej oraz szefa Związku Strzeleckiego, sierżanta Eugeniusza Rygienczuka, z którym pracował razem w garbarni. Aresztowali go bez powodu miesiąc przed wybuchem wojny. Między pomordowanymi nie brak było też kobiet i dzieci. Większość pomordowanych dostała strzał w tył głowy, również byli i tacy, którzy mieli czaszkę kompletnie zmiażdżoną od uderzenia tępym narzędziem. W więzieniu przy ulicy Zamarstynowskiej liczbę pomordowanych Niemcy podali na około 3 000. W więzieniu przy ulicy Łackiego około 4 000. Było tam również kilku oficerów i lotników niemieckich, których bolszewicy wzięli do niewoli. W więzieniu przy ulicy Kazimierzowskiej, również była pokaźna liczba zamordowanych, ale większość spłonęła, bolszewicy uciekając podpalili więzienie”.

Zeznanie nr 15797, M.W. z zawodu ślusarz – ur. 1922 r. we Lwowie.

Profesor Władysław Studnicki w broszurce pod tytułem *Rządy Rosji Sowieckiej we wschodniej Polsce 1939 – 1941*, napisał: „*W przededniu cofnięcia się władz i wojska sowieckiego ze Lwowa pod wpływem natarcia Niemców, rozpoczęło się rozstrzeliwanie. Ofiarami tego w pierwszym rzędzie byli ci, których pozostawienie w kraju uważały władze sowieckie za najbardziej niepożądane. Rozstrzeliwanie odbywało się w sposób następujący: wywoływano więźnia, prowadzonego do piwnicy, w drodze otrzymywał strzał w tył głowy, całkiem dla siebie niespodziewanie. W ten sposób rozstrzelano 1 220 osób”.*

Innym miejscem znanym na Ukrainie jest Babi Jar gdzie w 1941 roku zginęło 70 tysięcy Żydów.

Narodowy socjalizm niemiecki opanował już Austrię, Czechy, Polskę, Norwegię, Holandię, Belgię, Francję, Jugosławię i Grecję. Próbował ugryźć Wielką Brytanię. A chytry i podstępny Azjata – Stalin, czekał aż demokracja i narodowy socjalizm dostatecznie się osłabiają. Alianci nie kwapili się wypowiedzieć wojnę Związkowi Sowieckiemu, mimo że zajął połowę Polski, Litwę, Łotwę, Estonię i rumuńską Besarabię. Czekali, kiedy dwa wielkie mocarstwa skoczą sobie do gardła. I tak 22 czerwca 1941 roku narodowosocjalistyczna Rzesza i komunistyczna Rosja wzięły się za łby. I stało się to, czego sam Stalin się nie spodziewał. Niemcy napadli na Związek Radziecki. Ta rozległa, żyzna i bogata we wszelkie bogactwa naturalne, a także minerały ziemia od wieków kusila germanów. Kiedy Hitler został kanclerzem Rzeszy (1933), to w swoich przemówieniach wskazywał na wschód i mówił, tam właśnie jest przyszłe miejsce dla Niemców, przestrzeń życiowa. W swoim „Mein Kampf” ubolewa nad upadkiem hegemonii Niemiec w Europie. Ta troska o Niemcy „pomogła ustalić zasady własnej myśli politycznej”.

Szczególnie smacznym kąskiem była Ukraina, ziemia żyzna i bogata. Kraje europejskie miały rozległe kolonie w Afryce i Azji. Rosja miała wszystkie bogactwa mineralne we własnym kraju.

W czerwcu 1941 r. uciekający zniszczyli tory kolejowe i bocznice na naszej stacji. Mieszkańcy mieli dość rosyjskich rządów i mogą powiedzieć, że oczekiwali Niemców. Każda nacja u nas miała nazwę: Rosjanie to sowietci, ruski albo moskale, kacapy. Niemcy – szwabcy, szkopy. Ukraińcy to rezuny, bandery, banderowcy. Na Polaków Ukraińcy mówili lachi a Rosjanie palaczki.

Kiedy szkopy zajęli Lwów, to podobno byli witani suto zastawionymi stołami. Lwowianie też mieli dość „Sawieckiej Władzi”. Niektórzy mówili: Przyjdą Niemcy, będzie porządek! Przyszli butni, głośni, pewni siebie. Kpili z naszego polskiego ubóstwa, prymitywizmu, widocznej biedy i niskiego standardu życia. Muszę wspomnieć, choć z zażenowaniem, że Polska przedwojenna była jednym z najbardziej zacofanych państw w Europie. Oni nie przybyli tu w gościnę. Zaczęli wprowadzać swój ład i swój „ordnung”. Faszizm rozrywa wszelkie zapory i rozlewa się na całą Europę. Świat umiera w konwulsjach ściśnięty stalowymi kleszczami faszystowskiej bestii. Najpierw gromadzili Żydów i osadzali w gettach w Samborze i Drohobyczu. Tamtejsze getta, to place ogrodzone drutem kolczastym, bez dachu, możliwości umycia się i miejsca do spania. Więźniowie byli brudni i zarośnięci. Getta pilnowali uzbrojeni wartownicy. Ludzie jeżdżący na targ, widzieli jak Żydzi dawali znaki, by rzucić im coś do jedzenia. Przerzucali im w miarę możliwości. A nie jeden oberwał od wartownika kolbą albo kopniakiem. Wielu Żydów zmarło na miejscu, a resztę wywieziono do obozów. Inni, wiedząc co ich czeka, odbierali sobie życie jak na przykład Boruch, który wskoczył do studni znajdującej się koło zagrody Wajdla i utopił się. Kilka rodzin ukrywało się w lasach, w jamach wykopanych w ziemi. Wyszukiwali ich ukraińscy policjanci. A znalezionych mordowali na miejscu, innych prowadzili na „Głodną Górę” albo „Grabiczne Potoki” za „budką” kolejową, przy drodze do Oleksiat. Tam rozstrzelano kilka żydowskich rodzin znalezionych w lesie „Korytwinie”. Ludzie słyszeli lament małych dzieci patrzących na śmierć rodziców i czekających na własną. Bolało serce, ale byliśmy bezradni. Z sąsiednich wsi, np. Stupnicy, złapani Żydzi zostali rozstrzelani na tamtejszych łąkach, w miejscach zakrytych krzakami. Niektórzy Polacy ukrywali żydowskie rodziny. Robili klitki gdzieś w piwnicach wykopanych w stodole, pod sąsiekiem lub w komórce. Było to bardzo ryzykowne, ponieważ w razie wykrycia, wszystkich czekała śmierć lub obóz koncentracyjny. Sąsiad szpiegował sąsiada. Mimo to kilka żydowskich rodzin przeżyło. Braci Ichaka i Moszego Kolbów przechował Mikołaj Szczepański z Horynia, Babiarcz – innego Żyda. Rodzinę żydowską, której nazwiska nie pamiętam (małżeństwo i dwie córki) też ktoś przechował, a po przyjsciu Rosjan byli naszymi sąsiadami. Opuścili swoją kryjówkę słabi, wynędzniali, bladzi i chudzi. Codziennie rano brali od nas ćwierć litra koziego mleka dla dzieci. Inny Żyd, Sztelcer, za Rosjan, do czerwca 1941 r. pracował w szpitalu i poszedł z wycofującymi się Rosjanami. Żonę jego zastrzelili Ukraińcy. Ich dzieci, Rysio i Józefa (Dziunia), uciekały i ukryły się pod małym mostkiem. Tam ich znaleźli Ukraińscy banderowcy i też zastrzelili. Jan Szczęsny także ukrywał na strychu Żyda, właściciela tartaku z Chyrowa. Ale sąsiedzi

wiedzieli i głośno o tym mówili, więc zabrała go rodzina Szczepańskich z Horynia. Tam po kłótni rodzinnej został wydany. Została też córka Laufra, Mońcia. Zabrała ją pani Chelpa i nazwała Marią. Przeżyły obie. Po wojnie mieszkały we Wrocławiu. Mońcia, wyszła za mąż za Żyda i wyjechali. Po kilku latach odwiedziła swoją przybraną mamę i zabrała ją do Izraela.

Drugie utrudnienie jakie administracja niemiecka wprowadziła, to tzw. kontyngent. Bydło i trzoda były kolczykowane a inna żywność dokładnie policzona. Mleko należało odstawić do mleczarni a jajka do magazynu. Wprowadzono przymusową uprawę lnu, konopi, cykorii i buraków cukrowych. Wszystko, by pokryć potrzeby niemieckiej gospodarki i armii. Za wszystkie produkty dostarczone, jako ów kontyngent, chłopci otrzymywali zapłatę w litrach spirytusu. Wróg troszczył się o to, by głodni, sponiewierani ludzie zalewali się alkoholem, starano się zniszczyć i złamać twardą naturę polskiego chłopca, szerzyć odstępstwo i zdradę.

W okresie okupacji głód dokuczał srogo. Odważniejsi brali płótno, materiały, sukienki, fartuszki, obuwie i jechali na „zachód”, by wymienić i przywieźć nieco żywności: mąki, kaszy lub solonego mięsa. Podróż trwała długo, często ponad tydzień i trzeba było przesiadać się z pociągu na pociąg. Docierali w okolice Lublina, Jarosławia, Hrubieszowa, Krosna, Sanoka. W pociągach Bahnschutze przeprowadzali częste kontrole bagażu i dokumentów. Większe bagaże z towarami czy żywnością natychmiast konfiskowali na przygotowane przedtem platformy. W czasie przesiadek, na dworcach zawsze było pełno podróżnych i dokładne kontrole. Na jednym z dworców, którego nazwy świadkowie nie pamiętają, miało miejsce następujące zdarzenie: W nocy do poczekalni wszedł niemiecki patrol wojskowy. Było ciemno. Jeden Niemiec trzymał w ręku hełm za pasek i kołysał nim do przodu i tyłu. Był tłok. Ludzie spali na ławkach i podłodze. Niemcy świecili latarkami i szli między śpiącymi. Należało niezwłocznie im to umożliwić. Jeden mężczyzna spał mocno i nie słyszał rozkazu Niemca. Ów najpierw kopniakiem obudził go, a kiedy śpiący uniósł głowę, obrzeżem hełmu uderzył go w puls. Nieszczęśnikowi pękła czaszka i padł martwy. (Opowiadał Piotr Szczepański). Inny, starszy, głuchy mężczyzna na „halt” Niemca nie zatrzymał się i został zastrzelony. Wędrówki za chlebem kosztowały niejedno życie.

Pamiętam jak w zimowy, mroźny poranek, dwóch policjantów ukraińskich prowadziło z kryjówki na posterunek policji młodą Żydówkę. Szła po śniegu boso, ubrana tylko w koszulę nocną tak, jak zaskoczyli ją śpiącą. Miała długi warkocz sięgający pasa. Nie dowiedziałem się jej nazwiska ani nazwiska jej opiekunów. Nie wiem, co się ze wszystkimi stało. Ale mieszkańcy domyślali się, kto doniósł. Potem, tego człowieka zastrzelili Rosjanie. Niemcy też rozstrzelali Polaków. Któregoś popołudnia przywieźli kilkunastu (piętnastu lub szesnastu) polskich więźniów z Drohobycza i rozstrzelali publicznie w Dublanach. Niektórzy moi rozmówcy twierdzą, że to za zamordowanego T. Bissingera i jego kolegów. Inni, że za uszkodzenie torów kolejowych gdzieś koło Sambora. Takie pokazowe wyroki były też i w innych, większych sąsiednich wsiach, ale nie były często przez Niemców praktykowane. Za drobne przewinienie winny dostawał od gestapowca parę pał i ostrzeżenie.

Posterunek policji w Dublinach obsadzony był przez kilku z SS - Niemców oraz Ukraińców (Własowców). Policjanci ukraińscy gorliwie służyli Niemcom, a Polacy bali się ich panicznie, bo ci byli okrutni i bezwzględni.

Opowiem tu o jednym prawdziwym wydarzeniu. Mężczyźni z Dublin wzywani byli przez Niemców do różnych prac, na tak zwane szarwarki i dłuższy czas przebywali poza domem. Pewien mąż - zazdrośnik, skonstruował swojej żonie blaszane majteczki i zmusił ją do ich noszenia w czasie jego nieobecności. Powtarzało się to przez kilka jego kolejnych wyjazdów, choć powodów do zazdrości nie miał. „Strój” ten utrudniał załatwianie naturalnych potrzeb i poruszanie się. Sąsiadka namówiła ją, by poszła i zgłosiła fakt na policję. Kiedy wrócił do domu już czekało na niego wezwanie. Policjanci najpierw wygarbowali mu porządnie skórę na czterech literach a potem wytłumaczyli powód i ostrzegali, by więcej tego nie robił. Pomogło i konsekwentnie stosował się do tego zakazu.

Wielu młodych ludzi wywożono „na roboty” do Rzeszy. Były przypadki, kiedy bogatszy, by nie jechać, kupował sobie zastępstwo biedniejszego. Po pewnym czasie oszustwo się wydawało i taki cwaniak też jechał na „arbeitsamt”, a Rzesza niemiecka miała jednego nadliczbowego i darmowego robotnika więcej. Brat mojej mamy – Józef Jurkowski, od 1942 r. był na przymusowych robotach w Hamburgu. Pracował w mleczarni i nie cierpiał głodu. W ostatnich listach pisał, że tam często „pada grad”. W tym czasie alianci bombardowali intensywnie przemysłowe tereny Niemiec, a także i Hamburg. Zginął w którymś z nalotów. Ci, co nie chcieli pracować dla Niemiec, uciekali ze wsi i ukrywali się gdzieś u krewnych lub obcych. Ale i im nie zawsze się udawało. Złapani, ponosili srogie kary.

Zboże na mąkę mełło się nocą w domu na żarnach, po cichu by sąsiad nie słyszał. W czasie mielenia jedna osoba zawsze pilnowała przed domem, by ostrzec przed nieproszonym gościem lub "długimi uszami". Posiadanie żaren już było przestępstwem. Po zmieleniu, ukrywało się je gdzieś albo zakopywało.

Z okazji jakiegoś poważniejszego zwycięstwa, w ciepły letni wieczór 1943 roku na Kranzbergu, na podwórzu u Schwartza, oświetlonym reflektorami samochodów Niemcy dali występ dla stacjonujących tu żołnierzy i cywilów. Żołnierze pokazywali różne sztuczki i triki, m.in.: z gołębiem, cylindrem, cieniami zwierząt na ścianie, szpagaty, ćwiczenia sprawnościowe, popisy oferm - klaunów, opowiadali dowcipy, pięknie grali na harmonii i organkach. Pierwszy raz w życiu widziałem taki popis i bardzo mi się podobał.

Późną jesienią 1943 r. w kierunku Oziminy, niemal przez trzy doby przemieszczała się duża niemiecka formacja wojskowa. Chłód, pogoda mglista, siąpił drobny deszcz. A ja jako mały chłopiec, przez szparę w bramie obserwowałem z ciekawością to wojsko. Na początku jechały czołgi, potem samochody ciężarowe, ciągniki z przyczepionymi działami, maszerowała piechota. Dalej pojazdy z różnym sprzętem i bronią, przemieszane z maszerującymi oddziałami. A na końcu konne zaprzęgi kilkukilometrowej długości. Zapamiętałem zmęczone twarze tych ludzi, mokre mundury, kaptury

na głowach i plecaki jak wielkie garby. Ogromna masa wojska. Szli w milczeniu, karnie, oddział za oddziałem. Nic nie grabili ani nikogo nie krzywdzili.

26 czerwca 1943 r. alianci zbombardowali kopalnie ropy naftowej, gazu ziemnego i rafinerie w Borysławiu. W nocy słyszeliśmy lecące samoloty alianckie. Wyszliśmy z rodzicami z domu. Na niebie widać było wiele dużych samolotów. Leciały na wschód. Słyszałem warkot ich silników, a potem wybuchy bomb i lunę płonących rafinerii. Płomienie widać było u nas jeszcze przez trzy noce. Ucierpiały też pociągi wojskowe na tamtej stacji. Palily się wagony wiozące zaopatrzenie dla wojska. Polacy kradli z nich wszystko, co się dało, nawet broń, za której posiadanie groziła kara śmierci. Po tych nalotach czuło się już bliski koniec wojny, której wszyscy z nadzieją oczekiwali. W ludzi wstępowała nadzieja i cicha radość. Już koniec. Wystąpiły też obawy, jaka to będzie Polska, kiedy skończy się wojna? Wszyscy wiedzieli, że w Londynie istnieje Polski Rząd, a front zbliżał się ze wschodu. Rosjan znaliśmy doskonale! I to właśnie ich ludzie obawiali się bardziej niż Niemców.

Już pod koniec 1941 roku, po wkroczeniu Niemców, wzmożyły się działania ukraińskich band. Czas wojny przemienił ludzi w demony, ludzi, którzy żyli dotychczas ze sobą w zgodzie. Wszystko popękało i nagle się zawaliło. Ziemię dotąd spokojną, zalała obficie krew. Odżyły marzenia o „Samostijnej Ukrainie”. Najpierw dochodziły tylko wieści o wielkich i okrutnych rzeziach, gdzieś daleko na Polesiu i Wołyniu. O potwornych mordach i swobodnym działaniu band UPA. Okrucieństwo i sadyzm przechodziły ludzką wyobraźnię. Dziecięce głowy roztrzaskiwane o ściany domów, mężczyźni krojeni w sieczkarniach, brzuchy ciężarnych matek rozpruwane sierpami, obcinane nosy, uszy, kobiece piersi. Te słynne podolskie „czerwone noce” powoli zbliżały się do naszych stron. Działania wzmożyły się znacznie, kiedy Niemcy obiecali „Samostijnu Ukrainu”. Zbliżały się do nas i zagrażały całym wioskom. Krew krzepła z trwogi! Przyczyny tej wielkiej wrogości i nienawiści między Polakami i Ukraińcami stworzył już zaborca austriacki, o czym przybliżyłem krótko na początku tych wspomnień.

Na naszym terenie zdarzały się początkowo pojedyncze morderstwa. Już w 1941 r. rezun, zastrzelił na łące rolnika pracującego przy sianie. I coraz śmieiej sobie poczynali. A pierwszy tragiczny w skutkach atak bandy nastąpił w maju 1943 r. Ta noc była księżycowa i cicha. Tuż po północy banderowcy w różnych miejscach podpaliли kilka budynków we wsi Oleksięta. Zabijali wybiegających z płonących domów Polaków. Inni mordowali bagnietami i nożami napotkanych w mieszkaniach, przestraszonych i dezorientowanych ludzi. Michał Pakos, żonę i syna ukrył w przyzbie drewna. Sam uciekł i przeżył. Zginęli: Mateusz Danicki, 76 letni staruszek, Danicki Marcin, dwóch Janów Pakosów, Maria Pakos, dziadek Mikołaj Dzedzej, jego syn Tomasz, córka i jej synowie: Emil (18 lat), Mieczysław (5 lat) i trzyletni Roman. Z rodziny Paliwodów: matka – Maria, córka Paulina. Próbowaly uciekać przez okno. Tylko mama przez nie wydostała się, by skonać w ogrodzie. Córka została zastrzelona na parapecie okna. W ciele Emila też zostały rany po wielokrotnym pchnięciu bagnietem. Pozostałe dwie siostry, Aniela i Regina ocalały. Spały u sąsiada, zdążyły wybiec niezauważone i ukryły się w ogrodzie w krzakach. Młodszy brat Piotr też przeżył, ogłuszony tylko uderzeniem

kolby. Jeszcze tego ranka te dzieci przygarnął ich znajomy Ukrainiec - Czorneńko i zabrał do Dublan. Potem, te sieroty mieszkały u różnych ludzi. Anielę przygarnęła Wiktoria Danicka i razem przyjechały tu na zachód pierwszym transportem w styczniu 1945 roku. Ojca tych dzieci już w 1939 r. zastrzelili Niemcy. W kaftanie Mateusza Danickiego doliczono się ośmiu dziur po bagnecie. Jego syna, Jana wyprowadzili na podwórze i Ukrainiec strzelił mu w twarz z karabinu. Kula wyszła koło ucha, stracił przytomność i upadł. Kiedy ogień płonącego domu go parzył ocknął się, odczołgał w zarośla i zrobił sobie opatrunek z własnej koszuli. Na pewno kilku ciężko rannych zginęło w palących się chałupach. Mordercami byli Ukraińcy z sąsiednich wsi, Tatar, Kulczyc, dobrzy znajomi ofiar. Zginęło około siedemnastu osób. Spłonęło 36 budynków. Zostało zaledwie sześć albo siedem chałupek i szkoła. Z naszego podwórza (dwa kilometry) widać było łunę nad Oleksietami i słyszać wołania kobiet. Zapamiętałem przeraźliwy krzyk kobiety. Jestem pewny, że w tej chwili patrzyła jak mordują jej męża lub syna. Z Sambora, samochodem jechała straż pożarna. A kiedy od napotkanych na drodze uciekinierów usłyszeli, że to banda pali i morduje, zatrzymali się. Bali się jechać dalej. Ukraińskie czaty też spostrzegły nadjeżdżające auto i strzelały rakiety dając swoim bojcom sygnał do odwrotu. Rano, samochodem osobowym przyjechali Niemcy i policjanci ukraińscy. Popatrzyli na pogorzelska, na trupy, robili zdjęcia. Patrzyli jak kobieta wygrzebuje spalone kości swojego męża i syna z pogorzelska i tylko kiwali głowami. Ta nieszczęsna kobiecina podeszła do jednego z Ukraińskich policjantów, nadstawiła pierś i krzyczała: zabij mnie, zabij, zabiłeś mi męża i dziecko to i mnie zabij. Niemcy patrzyli i pytali; co ona krzyczy?

Stwierdzili, że zrobili to rosyjscy partyzanci. Krewni z sąsiednich wsi zabrali zamordowanych bliskich na swoje cmentarze. Kilku pogrzebano na cmentarzu w Dublanach. Jeden z uczestników pogrzebu wygłosił przemówienie pożegnalne i prosił wszystkich o modlitwę w intencji męczenników. Mieszkańcy Dublan organizowali straże nocne i wystawiali czujki, by te ostrzegały przed niespodziewanym napadem. A bandy zagrażały z różnych stron, od Bilinki, Hordyni, Kornalowic i Tatar. Każdej nocy czuwali mężczyźni, z kosami, siekierami i cepami.

W odparciu jednego z najgroźniejszych ataków na Dublany pomogli żołnierze węgierscy z wojskowego pociągu, który tej nocy stał na naszej stacji. Duży oddział banderowców około dwustu chłopca, z własnymi taborami zbliżył się do wsi i przygotowywał do ataku. Kiedy czaty spostrzegły, dały znać zawiadowcy stacji, a ten poprosił o pomoc Węgrów. Ci, strzelając z karabinów maszynowych, uniemożliwili atak banderowcom. Sami mieszkańcy nie byli w stanie się obronić przed taką liczbą dobrze uzbrojonych napastników. Niemcy prowadzili śledztwo. Podejrzewali Polaków o posiadanie broni, bo zginęło kilku Ukraińców, a straty w taborach były znaczne. Węgrzy i niemieccy osadnicy z Kranzbergu, potwierdzali, że Polacy mieli tylko kosy i widły. Przed nocą kobiety i dzieci gromadziły się po kilka rodzin w jednej izbie. W swojej bezsilności wszyscy zebrani modlili się gorąco do opatrności o przeżycie jeszcze jednej nocy. A mężowie czuwali. Takie całonocne czuwania były bardzo męczące. W dzień trzeba było normalnie pracować. Wielu wyjeżdżało przespać noc na dworcu w Samborze. Napadów na

Dublany było kilka. W jednym spalili kilka domów. A dźwięk dzwonu i strażackiej syreny ściągnął pomoc z sąsiednich wsi, ludzie stamtąd przygalopowali na koniach i pomogli przepędzić bandę.

Jeszcze, jako mały chłopiec nie byłem świadomy, jak okrutny może być człowiek, Rosjanin, Ukrainiec, Niemiec czy nawet Polak. Przyczyna tego okrucieństwa do dziś dla mnie jest nie do końca zrozumiała. Skąd wzięła się ta zapiekła nienawiść, okrucieństwo, zazdrość i mściwość. Co odebrało ludziom sumienia i pozbawiło możliwości odróżniania dobra od zła? Jestem świadomy tego, co przeżywa przeciętny mieszkaniec, przez którego kraj toczy się zbudowana ze stali machina wojenna. I wiem, że kiedy się przetoczy zostają trupy, zgliszcza, sieroty, kaleki, żal i ból. Wszystkie te nieszczęścia spadają zazwyczaj na prostych, niewinnych ludzi. I oni stają się narzędziem manipulacji tych, którzy konflikty tworzą. Czy nie może zgodnie żyć i pracować obok siebie Polak i Ukrainiec, Polak i Rosjanin, Polak i Niemiec? Dlaczego nasz kraj przez wieki jest europejskim polem bitew, a Polacy zawsze ofiarami? Czy w Europie jest choć jedno pole walki, gdzie nie krwawiła rana Polaka?

W czerwcu 1944 r. na dwa tygodnie przed wycofaniem się Niemców, do naszego domu przydzielono na kwaterę dwóch saperów, żołnierzy Wehrmachtu. Jednym z nich był osiemnastoletni chłopiec, bardzo sympatyczny i rozmowny. Drugi trzydziestoparoletni, przeważnie milczący. Ten młodszy przynosił fasowany prowiant: chleb, konserwy mięsne, masło, także mydło i dzielił się z nami. Oddawał mamie by przygotowywała posiłki dla wszystkich. Na podwórzach zatrzymywały się ich oddziały. Niemcy rozbierali się, myli przy studni, prali odzież, przygotowywali posiłki, czyścili broń i osobiste wyposażenie. Nie rabowali i nic nie zabierali. Mieli swój prowiant: chleb, masło i marmoladę w płaskich zakręcanych pudełkach, a napoje i zupę brali z własnej polowej kuchni. Wieczorem, kiedy jedli kolację, jeden z Niemców przywołał mnie i dał kromkę białego chleba z masłem. Nie pamiętam, kiedy jadłem tak biały chleb. Poglaskał pogłowiem i powiedział po polsku: „zostawiłem takiego chłopca w domu i nie wiem czy go jeszcze zobaczę, masz zjedz”. Miał łzy w oczach i chciał coś jeszcze mówić. Lecz jeden z Niemców, powiedział coś do niego po niemiecku i położył znacząco palec na ustach. Ten popatrzył na mnie, popchnął lekko w plecy i powiedział: idź, idź do domu. Nie zauważyłem, by niemieccy żołnierze okazywali jakakolwiek wrogość do nas Polaków. Kiedy chciał się napić wody czy mleka, to przychodził i prosił. Nie pamiętam, by żądał lub zabierał przemocą, jak to czynili Rosjanie.

Tuż przed nadejściem Rosjan torem kolejowym jechały dwie lokomotywy i wlokły za sobą potężny hak -pług, który łamał podkłady kolejowe. A w nocy saperzy, przy pomocy min rozrywali i niszczyli szyny. My i nasi sąsiedzi ukryci w piwnicy, słyszeliśmy jak kawałki szyn gwiżdżą w powietrzu i padają na podwórko. U nas w sadzie była wykopana w ziemi głęboka piwnica, grubo okryta ziemią. Tam przebywaliśmy, kiedy niszczone te tory. Kawałki szyn leżały na naszym podwórzu tj. około 150 m od torowiska. Niemcy wycofywali się. Ten młody niemiecki saper miał rozkaz zniszczenia przy pomocy min mostu kolejowego na Weretynie koło Nowoszyca, a potem wrócić by zabrać swój ekwipunek. Most został zniszczony, ale chłopiec już się nie pokazał. Chciałbym wiedzieć czy przeżył i co

się z nim stało. Kilka dni przed wycofaniem Niemców wyjechały też rodziny niemieckich osadników. Cofające się oddziały niemieckie wywlekały wozy i różny sprzęt gospodarski na drogi, barykadując je by utrudnić Rosyjskim wojskom pościg.

9 ROSJANIE PRZYCHODZĄ PO RAZ DRUGI

Pierwsze zapamiętane przeze mnie odczucia to strach przed napadami ukraińskich band. Pamiętam zdarzenia szczególnie przykre i bolesne. Dobrze pamiętam wycofywanie się Niemców latem 1944 r. Natomiast bardzo dobrze moment wejścia wojsk sowieckich tuż po wycofaniu Niemców. Ale po kolei. W lutym 1943 roku Armia Czerwona okrążyła armię feldmarszałka Fridricha Paulusa pod Stalingradem (Wołgograd) i odparła Niemców z zachodnich przełęczy Kaukazu. Cztery fronty pod wodzą marszałków Georgija Żukowa, Iwana Koniewa, Aleksandra Wasilewskiego i Konstantego Rokossowskiego wyposażone w nowy sprzęt własny, brytyjski i amerykański, ruszają na zachód, zmiotając po drodze jeszcze liczebną i silną armię niemiecką. Niemcy już nie byli w stanie odeprzeć ani powstrzymać sowieckiej nawałnicy. Naparła potężna fala krasnoarmiejców. Armia Żukowa odbiła Charków, Dniepropietrowsk Kijów i klinem uderzyła na Ukrainę we wszystkich kierunkach, m.in. do granicy rumuńskiej i Dniestru. Po niespełna półtora roku zmierzała w naszym kierunku i zbliżyła się znacznie. Bardzo obawialiśmy się, że wraz z władzą sowiecką wróci niedostatek, prześladowania, terror i niedoła, los wcale nie lepszy, a może bardziej uciążliwy niż ten, jaki znosiliśmy w warunkach okupacji niemieckiej. I tak przed południem w pierwszych dniach lipca 1944 r. w Dublanach (konkretnie na Kranzbergu) pojawił się patrol rosyjski. Kilku żołnierzy trzymając broń gotową do strzału, szło drogą i czujnie się rozglądało. A po południu już zajeżdżali na podwórza małymi oddziałami, przygotowywali jedzenie i noclegi. Wieczorem, na dziedziniec zajechali kucharze z kuchnią polową. Naszym drewnem rozpalili pod nią ogień i kiedy tato spędził z pastwiska krowy na podwórze oni pochwycili pierwszą i zarżnęli. Zmusili jeszcze ojca do pomocy przy jej ćwiartowaniu. Z tej krowy do domu przyniósł tylko jęzor i położył go na stole. Oboje z mamą mieli w oczach łzy. Rosjanie zjedli krowę, a na podwórku pod płotem zostały po niej tylko kości i skóra. Ludzie wyprowadzali bydło w miejsca oddalone od główniejszych dróg, by ukryć je gdzieś w zaroślach, bo rosyjskie wojsko kilka razy przemieszczało się przez wieś i zawsze zabierali konie, wozy do swoich taborów, bydło na rzeź i wszystko, co było i nie było im potrzebne. Konie chore, zniszczone i nie zdatne już do niczego, wymieniali na nasze młode i zdrowe. Piotrowi Szczepańskiemu rosyjski żołnierz zabrał młodą, ładną klacz. A Szczepańska uwiesiła się na szyi tej klaczy i zdesperowana krzyczała do Ruska - oddaj mi łoszadz, to moja ostatnia chudoba. Zobaczył tą scenę jakiś starszy rangą Rosjanin i pyta ją, czego krzyczysz? A ona, tawariszcz eta maja paśledniaja łoszadz, ty mienia ubij ja jejo nie addam. Mai rebionki pamrjut is gałoda. Rosjanin kazał żołnierzowi wyprząc i oddać jej konia. Odczuwaliśmy brak wszystkiego do normalnego życia. Teraz już, jako dojrzały obserwator

patrzą na Armię Czerwoną i widzę: dowódców w butach chromowych, wełnianych bluzach, przepasanych skórzanymi pasami. Szeregowy „Wańka” w butach parcianych i bluzie papierowej. Politrak i enkawudzista, cały obleczony w skóry - czapka, kurtka lub płaszcz, spodnie i buty z cholewami.

Nasi „oswobodziciele” wprowadzili nowy, a nam już znany z ich poprzedniego pobytu, porządek. Wszystkich młodych mężczyzn w tzw. wieku poborowym rejestrowali, wskazywali miejsca zbiórek i wcielali do polskiego wojska. Ukraińców zdolnych do służby wojskowej zabierali masowo do Armii Czerwonej. Pierwszych poborowych, z zaskoczenia wzięli bez większych problemów. Następni, by nie iść w sałaty, symulowali choroby a najczęściej okaleczali się. Przestrzeliwali sobie nogę albo rękę, a nawet ucinali prawy wskazujący palec. Na kwaterze u Augustyna Szkolnickiego kwaterowała rosyjska lekarka Waria (Warwara? - właściwego nazwiska nie zdołałem ustalić). Ona, jako „naczalnik” komisji oceniała, kto jest, a kto nie jest zdolny do służby wojskowej. W dniach poboru pod dom komisji zajeżdżały wozami całe rodziny ze swoimi synami. Ukraińscy poborowi, aby uniknąć służby, starali się przekupić lekarkę. Po takim dniu poboru, w stajni gospodarza gdzie pracowała komisja, pełno było drobiu, a jaj dwa albo i trzy wielkie wiklinowe kosze. Poborowi przynosili lekarce także cukier, a nawet jeden, całkiem nowe eleganckie skórzane oficerki. Popołudniu Ukrainiec buty jednak zabrał, bo został wcielony do armii. Tym z przestrzelonymi kończynami robiła opatrunki i dawała leki do domu. Ale ich rany ciągle się nie goiły. Więc zaczęła ich leczyć w szpitalu przy swojej kwaterze, który osobiście ordynowała. Tu, pod jej okiem rany raz dwa się goiły i maszerowali do wojska.

We wsi powstała rada wiejska „Sielsowiet”, potocznie - „Sylirada”, jeszcze jedno narzędzie do egzekwowania „ukazów” nowej władzy. A najważniejszą osobą w niej był przewodniczący, Polak - „hołowa” albo prezydent. Codziennie wielu ludzi było zatrudnianych przy różnych pracach na lotniskach, kolei lub w lesie. Co prawda nie było już represji takich jak w 1939 r. ale życie mieszkańcom uprzykrzali w przeróżny sposób.

Nowe władze sowieckie tworzyły tzw. Istribitielnyje Bataliony. Zadaniem ich było wykrywanie i likwidowanie band ukraińskich. „Stribkami” – członkami szeregowymi byli Polacy, m.in. Mikołaj i Piotr Szczepańscy, Stanisław Danicki z Oleksiąt, Jańdziak z Dołu i inni, przeważnie starsi wiekiem, byli żołnierze sprzed wojny - razem około trzydziestu mężczyzn. „Kamandirem” był Stanisław Kamiński. Na wypadki rozbijania band jeździli m.in. do sąsiednich wsi: Biliny, Dorożowa, Hordyni, Siekierczyc czy Tatar. Batalion wyjeżdżał wozami a w zimie saniami. Czasem wracali wioząc swoich rannych kolegów. Rosjanie nie angażowali swoich wojsk do unieszkodliwiania małych grup banderowców. We wsiach gdzie w większości mieszkali Ukraińcy nieraz dochodziło do strzelaniny. W jednej z takich akcji we wsi Dorożów ujęto trzech prowodyrów (komendantów) tamtejszej bandy. W styczniu 1945 r. na Kranzbergu, tuż za mostem na łączce, Mykolcio z Błonia, na rozkaz Rosjan, postawił szubienicę. W tym czasie nie było śniegu i było dość ciepło. Tam Rosjanie zgromadzili mieszkańców Dublan i powiesili tych banderowców. Samochód ciężarowy ze skazanymi podjechał pod

szubienicę. Skazanych postawiono na pieńkach i założono powrozy na szyje. Wtedy jeden ze skazanych krzyknął: Dorożiw ridna ratuj (rodacy z Dorożowa ratujcie). Samochód odjechał. Wisieli dwie doby, pilnowani przez dwóch rosyjskich żołnierzy po to, by inni banderowcy wiedzieli, jaki koniec ich czeka. Potem rodziny zabrały ich zwłoki.

Kilka dni po oswobodzeniu, Rosjanie w naszym domu zrobili lazaret. W izbie, na podłodze leżało kilku łez rannych. Któregoś wieczoru przyprowadzili pijanego Rosjanina, któremu Ukraińcy poderżnęli gardło. Oddychał charcząc, a z rany wypływała pieniąca się jasno czerwona krew. Rano już nie żył. Inny z chorych Rosjan, sam oblał się benzyną i podpalił. Tego, po wyleczeniu gdzieś wywieźli i podobno rozstrzelali. Był przestraszony frontowymi przeżyciami i stracił rozum.

Sztab sowiecki postawił sobie za główny cel przyśpieszenie ostatecznego zdławienia wroga. Żołnierz przepelniony był ideą niepokonanej zemsty.

Cofnijmy się w lata stalinowskiego terroru i czystek. Poszukajmy głębiej, ujrzymy naród zniewolony, poniżony, pozbawiony godności. Trwało to od wielu lat. Teraz bijąc wroga, dokonali wielkiego wyczynu. Można powiedzieć - odzyskali godność. Więc ten naród trzeba znowu ześwinić, wytarzać w ohydny gównie, zeszmacić. Za czołgami sunęła banda zaciekłych, żądnych zemsty maruderów. Niszczyli wszystko, zabijali, gwałcili, rabowali. Stawali się okrutnymi barbarzyńcami. Zagarniali dosłownie wszystko, co spotkali: zegarki, rowery, odzież. Odsyłali „trofiejne” rzeczy przeładowanymi taborami. Zagarniali również kobiety, które nie zdążyły ukryć się lub uciec. Strzelali do broniących je mężczyzn. Niektórzy dowódcy próbowali opanować sytuację i nie pobłażać rozpasaniu. Wykonano nawet kilka pokazowych wyroków i odczytano wyrok sądu polowego w podległych jednostkach. Niewiele to pomogło.

Jesienią 1944 r. do lazaretu przydzielono dwie młode sanitariuszki. Przyjechały ubrane w kufajki, w wojskowe buty z cholewami, przepasane wojskowymi pasami i bardzo głodne. Na kuchni stał garnek świeżo ugotowanych kartofli w mundurkach dla świń. Pierwsze ich słowa to chazajka – my kuszać chcem, daj czto nibut. Mama postawiła te kartofle na stole. Zjadły wszystkie. Bardzo im smakowały. Jedna z nich miała na imię Waria, druga Katia. Były przez całą zimę. Bardzo ładnie śpiewały rosyjskie dumki i czastuszki. Rosjanie, jak pamiętam, zawsze śpiewali. Na postoju i w marszu: Wychadila na biereg Katusza; Tri tankisty; Ej taczanka rastawianka; Tiomnaja nocz, tolka puli swiszczat na stiepi. Śpiewali też „bajcy”, jak napili się samogonu, tylko wtedy te ich pieśni były tęskne albo ordynarne. A zdolni do tego byli nad podziw. Harmoszka albo bajan, płakała rzewnie i tęsknie, radośnie albo smutno, tańczyli, ręce oparte na biodrach, tańce - hołubce, kozaki, prysiudy i prytupy, tylko rubaszki fruwały. Patrz i podziwiaj.

Naprzeciwko naszego domostwa, na dużym podwórzu sąsiada Chichłowskiego, przez kilka dni stały wojskowe ciągniki gąsienicowe do holowania armat. Padał śnieg, wiał wiatr i był dość duży mróz. Te ciągniki były całe zasypane śniegiem. Któregoś mroźnego poranka żołnierze odkopali je i próbowali uruchomić. Żaden nie chciał zapalić. Palili pod nimi ogień i kilka kuchni polowych grzało wodę do

chłodnic. Trwało to około trzech godzin. „Kamandir” jobkał i poganiał swoich „sałdatow”. Ci biegali z wiadrami gorącej wody. Wreszcie jeden ciągnik „zaskoczył” i na holu ciągnął drugiego, drugi następnego itd. Dopiero po południu cała kolumna ruszyła.

Kiedyś siostra nieciła ogień w kuchni, ale nie chciał się rozpaścić. Wzięła butelkę z naftą i chlusnęła z niej w palenisko. Buchnął ogień, butelka upadła i nafta rozlała się po podłodze. Jedna z Rosjanek bardzo przytomnie porwała pierzynę z łóżka, nakryła nią płomień i stłumiła.

Któregoś dnia w upalne lato, tuż po wyzwoleniu, szliśmy z kilkoma chłopcami nad potok wykąpać się. Nadleciał niemiecki samolot, tzw. „Rama”, zrobił nad jednym z domów wielkie koło z dymu i odleciał. My staliśmy około 150 metrów od tego domu. Starsi widząc to, zaczęli nas wołać i uciekać. Za chwilę nadleciał inny samolot i zrzucił bombę. Belki z płonącego domu fruwały wysoko w powietrzu. Tam mieścił się sztab sowiecki. W tym czasie nikogo w budynku nie było, tylko wartownik chodzący po podwórzu. On też gdzieś się ukrył i przeżył.

W ciepłe popołudnie jedna z sanitariuszek zaprowadziła mnie na pogrzeb rosyjskiego oficera. Był ciężko ranny gdzieś na froncie, a leczony w Dublanach zmarł. Rosyjscy żołnierze w nowych mundurach przynieśli trumnę nad grób. Jeden z ich oficerów przemawiał. Potem, już nad zasypczym grobem oddali salwę honorową. A na grobie zamiast krzyża postawili drewniany pał zakończony czerwoną gwiazdą, tabliczkę z jego nazwiskiem, a jego hełm położyli na grobie.

Na kwaterę do naszego domu przydzielono lekarza, pułkownika z Leningradu. Był to mądry, kulturalny i spokojny człowiek, zawsze schludnie ubrany w czysty mundur. Miał własne radio na słuchawki. Często z nami rozmawiał. Wspominał swoich zaginionych krewnych. Opowiadał jak on i ludzie żyli w oblężonym Leningradzie, co jedli, jak marli z głodu i zimna; o śmiałkach, którzy pod ogniem niemieckiej artylerii i karabinów maszynowych przerzucali żywności przez jezioro Ładoga do oblężonego miasta; o ich poświęceniu i determinacji oraz o strasznych mrozach. Wieczorem z ojcem słuchali w radio wiadomości z Moskwy. Czasem mogłem przez parę minut posłuchać muzyki. Pamiętam, że parę razy zwracał mi uwagę na śpiew jakiegoś chóru. Wtedy nie wiedziałem nawet, co to jest chór. Dopiero po wielu latach domyśliłem się, że śpiewał to słynny już wtedy chór Armii Czerwonej im. Aleksandra Aleksandrowa (powstał w 1928 roku). Jego dyrygentem był wtedy Wiaczesław Korobko. Ten chór nie miał sobie równych ze swoim repertuarem: Kalinka; Oczy czornyje; Kozacka kawaleryjska; Święta wojna; Dzień pabiedy; Torreador. Potem zamieszkał u nas mechanik samolotowy, nazywał się Szatałow. Ten wstawał bardzo wcześnie rano i szedł na służbę na lotnisko. Jego kombinezon, mundur i obuwie to same łaty ubrudzone smarem i olejem. Ręce zawsze pokaleczone, a palce poowijane bandażami. Wieczorami ciągle coś szył i latał. Kiedy jesienią dostał nowy, trochę za długi płaszcz, to poszedł do drewnutni i siekierą na pieńku odrąbał jego nadmiar od dołu. Spodnie były tak sztywne od smarów, że kiedy je zdejmował, mogłyby stać w kącie. Polacy codziennie, także z zaprzęgami, wyznaczani byli do pracy na lotniskach w Hordyni i Kalinowie. Były to prace porządkowe i ziemne - równanie terenu na pasach startowych.

Na wiosnę 1945 r. we wsi rozprzestrzenił się świerzb. Rosjanin kwaterujący u nas przyniósł całą menażkę gęstej, zielonkawej maści. Trzeba było smarować nią całe ciało, owinać się prześcieradłem i przetrwać tak pół doby. Była skuteczna. Po kilku dniach swędzenie i strupy znikły całkowicie.

Piszę o żołnierzach rosyjskich często ironicznie i ktoś powie – złośliwie. Może za dużo o ich swawoli. Wiem, że nie oni paktowali w Jałcie i Poczdamie, nie oni odpowiadają za stalinowskie zbrodnie i nie oni zdecydowali o losach Polski. Oni walczyli i ginęli na naszej ziemi, za naszą wolność. Szli na rozkaz i nie dziwmy się, że było, jak było. Od chwili wyruszenia na front żaden z nich nie widział swojej rodziny, żony, dzieci i nigdy nie był na urlopie. A kultura? No cóż, Niemcy mieli dużo wyższą kulturę, ale to nie przeszkadzało im w popełnianiu strasznych zbrodni.



Trzy miasta i trzy mocarstwa, decydujące o powojennym porządku na świecie wg linii, która okazała się być dla Polaków granicą dziejowej niesprawiedliwości.

10 NOWE CZASY

Dnia 22 lipca 1944 r. ogłoszono pierwszy akt prawny Władzy Ludowej, który określał ustrój państwowy Polski. Wzywał wszystkich Polaków, do mobilizowania się, celem rozgromienia hitlerowskich Niemiec. Ogłaszał wszystkim, że Ziemia nad Odrą i Bałtykiem to nasze Piastowskie Ziemie. Krajowa Rada Narodowa, to nasza legalna władza, która odda obszarnczą ziemię chłopom (całkowita i gruntowna reforma rolna bez odszkodowania), przeprowadzi różne reformy, znacjonalizuje przemysł, banki bez obcego kapitału – tego prawdziwego nieszczęścia dzisiejszej Polski; upowszechni oświatę i rozbuduje szkolnictwo.

Pierwszym posunięciem tej „władzy”, było powołanie mężczyzn do Polskiego Wojska. Mężczyźni urodzeni między 1904 a 1926 rokiem wezwani zostali, by zgromadzić się w jednym miejscu i odprowadzeni zostali do Drohobycza, następnie do Chodorowa. Po dwóch dniach pomaszzerowali z powrotem przez Dublany do Rzeszowa i tu otrzymali przydziały do różnych formacji wojskowych. W czasie tego marszu niektórzy dezertowali z kolumny, wyjeżdżali daleko do krewnych lub ukrywali się. Inni, słuchając zaleceń rządu londyńskiego, tworzyli mniejsze lub większe grupy partyzanckie (często były to zwykłe bandy) o różnych orientacjach politycznych, walczące o „nową” Polskę. Wielu Polaków nieświadomych celu pozabijało się nawzajem w bratobójczej walce. Wtedy też

organizacje podziemne różnych orientacji wykonały wiele wyroków śmierci na „wrogach” Polski. Nadal grasowały ukraińskie i polskie bandy pod różnymi znakami. Już wtedy naród polski był bałamucony i okłamywany obietnicami ze wschodu i zachodu. Niewiadomo było, o co toczyła się ta wojna polsko – polska. Ginęli w niej nie tylko Polacy walczący z sowiecką okupacją i nie tylko polscy zdrajcy wspierający czynnie czerwonego okupanta.

Na mocy wyżej wspomnianego aktu nowej władzy, zaczęła się masowa repatriacja Polaków na Ziemię Odzyskaną. Na początku 1945 r. z terenów obecnej Ukrainy, Litwy i Białorusi, Rosjanie zaczęli masowo wysiedlać polską ludność i transportami kolejowymi przewozić na Ziemię Odzyskaną, czyli Zachodnie. Powstał Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR). Zadaniem urzędu było organizowanie transportów polskich rodzin do odzyskanej „Polski” (z Polski do Polski - mawiano). Powiedziano mieszkańcom, że te tereny to już Ukraina i mieszkać tu będą Ukraińcy. A kto czuje się Polakiem niech zapisuje się dobrowolnie do ewakuacji. PUR tworzył listy wyjeżdżających i wyznaczał grupy na poszczególne transporty. Określona była też ilość dobytku dozwolonego do zabrania. Wyznaczeni musieli oczekiwać ze swoim majątkiem na dworcu towarowym w Dublanach, na podstawienie wagonów. Takie oczekiwanie trwało tydzień, nieraz dwa a opuszczone chałupy zasiedlali Ukraińcy. Bydło i dzieci pozostawały jeszcze w gospodarstwach a rzeczy w różnych skrzyniach, pakach i workach na dworcu. Trzeba było tego pilnować i w dzień i w nocy, bo kradli miejscowi i ludzie z przejeżdżających transportów.

Już 11 stycznia 1945 r., kiedy wieszano wspomnianych Ukraińców, stał na dworcu pierwszy transport gotowy do odjazdu. Ludzie z tego transportu też zostali zmuszeni, by być przy owej egzekucji ukraińskich banderowców. Takich transportów z samych Dublan odjechało sześć lub siedem. A przez nasz dworzec jechały transporty z okolic Złoczewa, Stanisławowa, Tarnopola. Ludzie ci zawsze prosili o pomoc albo po prostu kradli, co się dało.

Kartę ewakuacyjną otrzymaliśmy już 8 marca 1945 r. Odjazd naszego transportu wyznaczony był na czerwiec. Czekaliśmy całe dwa tygodnie w prowizorycznych szopach na dworcu towarowym przy torach. Wreszcie podstawiono wagony, zwykle węglarki bez dachów. W każdym wagonie musiały się pomieścić dwie, a nawet trzy rodziny. Bydło i konie jechały w osobnych wagonach na końcu składu. Po załadowaniu nasz pociąg stał jeszcze dwa dni, nim przyjechała lokomotywa. Na wagonach i wśród repatriantów pojawił się wiersz następującej treści:

Jedenastego stycznia było wypisane, że my Polacy za San wyjeżdżamy. Ciężka była chwila i ciężka godzina, nie miała ratunku już polska rodzina. Bili Polaków po wsiach i po polu i wszędzie strzelali po całym Podolu.

Bili Polaków i tak mordowali, że nasze zagrody popiołami stali.

Oj żegnaj, żegnaj ziemio ukochana przez banderowców naszą krwią zalana. Byli banderowcy, sami toporowcy, napadli na wioskę tak zwaną "łanowce". "Oj żegnaj, żegnaj słoneczko złociste, bo my wyjeżdżamy z ziemi swej ojczystej. Bóg nam dopomoże, my to zwyciężymy, krew za chleb oddamy i się odplacimy".

Największym problemem było żywienie „chudoby”. Trawę, koniczynę czy liście buraków dźwigali wszyscy na plecach. Pamiętam, mama nakładła w płachtę tak dużo trawy, że nie miała siły jej podnieść. Klękała na kolana a ja pomogłem jej wstać na nogi. Nie można było się oddalić, bo transport w każdej chwili mógł odjechać. Wreszcie przyjechała lokomotywa. Maszynista szarpnął wagonami tak mocno, że poprzesuwały się paki, worki. Wylało się mleko z naczyń, woda z wiader. W ten sposób maszyniści dawali do zrozumienia, że trzeba ich żywić i poić. Jadący tym transportem ustalili kolejkę. Na każdym postoju ktoś niósł maszyniście strawę lub mleko. Takie szarpanie maszynista stosował i wtedy, kiedy jedzenia było za mało, postne albo nie smaczne. Przed odjazdem na zachód, mama piekła i suszyła chleb. Nie wiedzieliśmy gdzie jedziemy i czy będzie co jeść. Tego chleba były dwa wielkie wory. Dzieciom, do spania zrobiono wnęki z worków zboża a przykrycia na sprzęt i worki sklecone były z pozbieranych po drodze blach lub desek. Mimo to kilka razy kapiąca woda deszczowa budziła mnie w nocy. W wagonie mieliśmy prowizoryczny piecyk, na którym można było upichcić prostą potrawę lub zagrzać wodę do mycia. Transport nasz jechał przez Sambor, Medykę, Żurawicę, Kraków. Ten polski Kraków każdy chciał zobaczyć. Wiedzieliśmy, że pozostał niezniszczony. Chociaż był czerwiec, to gęsta mgła okrywała miasto i niewiele było widać. Zapamiętałem tylko stojący na sąsiednich torach pociąg osobowy z pokrytymi rosą oknami i pasażerów oglądających nas z ciekawością. Padały pytania z obu stron o różne sprawy: skąd pochodzimy, gdzie nas wiozą itp. Od tych ludzi usłyszeliśmy pierwszy raz, że jedziemy na „Dziki Zachód”, gdzie wszystko trzeba zaczynać od nowa. Amerykański „Dziki Zachód” to dziewicze tereny mozolnie zagospodarowywane przez osadników. Tu też pierwszy raz dostaliśmy chleb z miejskiej piekarni. Następną stacją, którą dobrze zapamiętałem był Bytom. Tu nasz transport stał prawie miesiąc. Repatrianci brali bydło na powrozy i paśli na pobliskich polach, by widzieć swoje wagony i w razie odjazdu móc zdążyć wprowadzić je ponownie do wagonu. Plagą podróżnych stały się wszy. Przed wagonami w wolnych chwilach matki wybierały te wszy z odzieży i dziecięcych głów. Potem Opole. Tu staliśmy całe dwa tygodnie. Spośród ludzi z transportu wybrani zostali tzw. urzędnicy PUR do załatwiania różnych spraw: Zenon Monasterski, Zygmunt Gabory (w latach pięćdziesiątych nauczyciel w Szkole Zawodowej w Parku 3 Maja w Stargardzie) oraz Franciszek Bogucki. Zachęcali do poszukiwania i zajmowania domów w samym Opolu albo dalej poza miastem. Wyładowało i osiedliło się tu kilka rodzin. Domy były ładne, prawie niezniszczone, z meblami i wszelkim sprzętem, gotowe do zamieszkania. Większość ludzi w transporcie to rolnicy, więc nie garnęli się do miasta. Ludzie chodzili, oglądali, ale woleli gospodarstwa i ziemię. Dużo czasu należało poświęcić, by zdobyć paszę dla koni i bydła. Przez zniszczony most na Odrze dźwigali na plecach ciężkie wiązki koniczyny. Przejście przez ten most, to iście akrobatyczny wyczyn. Taką wiązkę trzeba było przeciągnąć liną przez drewnianą kładkę po brakującym prześle. Kilka wiązek, zamiast krów - „zjadła” Odra. Odważniejsi wyprowadzali i paśli bydło na pobliskich polach. Co bardziej zaradni zaczęli szabrować z opuszczonych niemieckich domów różne sprzęty. Dźwigali maszyny do szycia, rowery, zegary i in., wtedy wartościowe przedmioty. Nasz pociąg stał wzdłuż długiego i szerokiego, wybrukowanego peronu towarowego.

Na tym peronie był też wrak rosyjskiego samolotu, tzw. „kukuruźnika”. Dla dzieci był doskonałym miejscem do zabawy. Przez kilka upalnych, lipcowych dni, rosyjski szeregowy żołnierz woził na wojskowym, niemieckim motocyklu, wzdłuż naszego transportu, zawsze pijanego oficera. Oficer ów, siedział w koszu motocykla z pistoletem w ręku i wygrażał nam Polakom: "wy palaczki, job waszu mat', ja was wsiech pod stienku i ubiju. Ubiju, sabaczaja wasza mat". Pistolet był bez naboii. Słyszeć tylko było trzaski zwalnianego kurka. Kiedy słońce bardziej grzało i trochę się zmęczył, zdejmował bluzę, następnie koszulę i w końcu zasypiał. Codziennie jeździli tak przez godzinę, czasem dłużej. To był nieszczęśliwy człowiek, zniszczony wojną i wódką. Rosjanie ciągle szwendali się koło transportu. Zaglądali do wagonów, żądali samogonu, nawet mleka i jaj. Proponowali różne zamiany. Któregoś dnia przyszło dwóch Rosjan i proponowali do zamiany rzecz nikomu nie potrzebną, a któryś z naszych zażartował: tawariszcz, machniom kiłu za zdarowyje jajca?" (chcesz zamienić kiłę na zdrowe jaja?). Jeden z nich sięgnął po pistolet, ale drugi stanowczo powiedział: ukryj aruże.

Tu, w Opolu pierwszy raz widziałem długie składy wagonów, gdzie jedna albo dwie lokomotywy ciągnęły taki skład, a jeszcze jedna z tyłu ten skład pchała. To z zachodu jechały tak długie składy, często po sześćdziesiąt wagonów, załadowane maszynami z niemieckich fabryk i wszelakim dobrem zrabowanym w Niemczech. Transporty te konwojowali rosyjscy żołnierze, dobrze uzbrojeni. Na dachach wagonów mieli karabiny maszynowe. Jechały też transporty z ryczącym bydłem, na pewno głodnym i spragnionym, bo kto był w stanie tyle sztuk, w tak długim składzie napoić i nakarmić?

Rosjanin prowadzi prawie nowy rower, próbuje jechać i wsiada, przewraca się. Obok niego przejeżdża nasz sąsiad z transportu na starym poskładanym z wielu części gracie. Rusek krzyczy: pastoj palaczok, pastoj. Skaży ty mienia paczemu twój lisapied jediot a moj wsiegda kuwyrkajetsa (fika koziołki). Ten stary przedwojenny batiaryga, wyczuł frajera i mówi: dawaj ja paprobujju, a ty padieży minutoczku moj lisapied. Wsiadł, nacisnął na pedały, pojechał za wagony i już go nie było. Rosjanin został ze starym gratem na peronie. Domyślił się jednak, że ten Palaczok pochodzi ze stojącego tu transportu. Przez dwa dni przychodził i spacerował wzdłuż wagonów, przyglądał się, chciał znaleźć cwaniaka.

W Opolu otrzymywaliśmy chleb z piekarni. Wcześniej rano czekało się pod piekarnią na należny przydział. Nasz transport po wielu przygodach jego pasażerów wreszcie ruszył. W drodze okazało się, że kilka osób plądrujących po mieście pozostało. Potem dotarli którymś z pociągów osobowych, kursujących już prawie regularnie.

I tak przez Poznań, Krzyż dotarliśmy do Starogrodu (Stargard). Ze Stargardu nasz transport cofnięto do stacji Dolec (Dolce, teraz Dolice), gdzie cały skład postawiono na boczniczy. Lokomotywa odjechała a nam powiedziano, by szukać sobie czegośkolwiek do mieszkania, bo już nigdzie nie pojedziemy, a jutro albo pojutrze wagony będą zabrane. Był ósmy sierpnia 1945 roku. Mężczyźni grupami rozeszli się po okolicznych wioskach szukać gospodarstw. Kilka rodzin zostało w Stargardzie i Dolicach. A wielu wybrało właśnie Piasecznik.

11 ROK 1945 NA ZACHODZIE

Hitler od 1933 – kanclerz, 1934 – prezydent i szef rządu, wódz, Führer.

„Tysiącletnia Rzesza” rozpada się w gruzy, Niemcy nie mają już rządu. Armia i dowództwo rozproszone. Miasta zniszczone i wypalone przez naloty alianckie, komunikacja sparaliżowana, brak żywności, światła, wody. Tysiące ludzi bezdomnych błąka się, drogi zatłoczone zdezorientowanymi wojskami, dezertkami, cywilami i porzuconym sprzętem. Niemiecka gospodarka w głębokiej zapaści, z szalonego przemysłu został kamień na kamieniu. Pomimo tego samobójcza wojna jeszcze trwa. Od wschodu na czterech frontach prze ogromna masa wojska, w tym: 6 armii pancernych, 6 lotniczych. Od zachodu w to ludzkie kłębowisko wdziera się 5 armii amerykańskich, 1 kanadyjska, 1 brytyjska, 1 francuska. Potężne alianckie floty powietrzne miażdżą tyły rozbitych armii niemieckich (ogółem 40 armii atakuje Rzeszę). Od wschodu już niepowstrzymana nawała rosyjska bierze krwawy odwet za bezprawny napad hord hitlerowskich na ich ojczyznę. Odpowiedzialni za straszliwe spustoszenie Europy, wymordowanie milionów ludzi, ograbienie narodów i wprowadzenie narodu niemieckiego w tą straszliwą katastrofę, niemieccy zbrodniarze i przestępcy kryją się i uciekają. Hitler, Goebbels i Himmler popełniają samobójstwa. Z siódmego na ósmego maja w Remis Keitel i Jodl podpisują akt bezwarunkowej kapitulacji. Przyjmują go Walter Bedell Smith (USA), gen Alphonse – Pierre Juin (Francja) i gen Iwan Susłoparow (ZSSR). Rosjanie wymuszają powtórne podpisanie kapitulacji niemieckiej i z ósmego na dziewiąty maja w Berlinie, Keitel, w obecności marszałka ZSRR Żukowa, ministra spraw zagranicznych A. Wyszyńskiego, marszałka sir Artura Teddera, gen. Carla Spootza (USA) i gen. Jeana de Lattrede Tassigny (Francja) podpisują dokumenty. Keitel, Doenitz, Jodl, Pappen, Hans Frank, Schacht i wielu innych zbrodniarzy zostaje aresztowanych. Przejęto wiele archiwów i dokumentów Rzeszy. Czwartego listopada 1945 r. rozpoczyna się proces zbrodniarzy wojennych w Norymberdze. Zacytuję urywek pamiętnika Rudolfa Hoesa (prominent i zbrodniarz): "(...) *Z ogłoszonych dokumentów procesu w Norymberdze widzę, że kierownictwo Trzeciej Rzeszy, wskutek stosowania polityki gwałtu ponosi winę za rozpętanie tej straszliwej wojny wraz ze wszystkimi jej skutkami, że kierownictwo to z pomocą nadzwyczaj skutecznej propagandy i bezgranicznego terroru podporządkowało sobie cały naród, który z bardzo nielicznymi wyjątkami, szedł bezkrytycznie i bezwolnie każdą wskazaną mu drogą...*".

W 1945 r. na skwerku Alei Jerozolimskich w okolicach dzisiejszego Dworca Głównego urządzono zgodnie z nakazami sowieckiej propagandy, uroczystą defiladę zwycięstwa. Na trybunie stanęli; Bierut, Osóbka - Morawski i generał Żymierski. To ci trzej przyjęli defiladę żołnierzy Wojska Polskiego. Mit wyzwolenia Warszawy przez wojska sowieckie i polskie był wielką mistyfikacją. Wyzwolono tylko ruiny, których nikt nie bronił, bowiem w mieście nie było już podobno żadnej żywej duszy.

Rosja angażuje swoje siły na wschodzie Azji, by zniszczyć Japonię. Po zrzuconiu bomb na Hiroszimę (06.08.1945 r.) i na Nagasaki (09.08.1945 r.), byliśmy przekonani, że teraz przyjdą Amerykanie, pokonają Rosjan a my repatrianci wrócimy na swoje śmieci. A tymczasem można było zamieszkać gdziekolwiek, by tylko jakoś przetrwać zimę. Na polach stało jeszcze mnóstwo niezebranego zboża. Każdy kosił, co nadawało się do zbioru i gromadził, na ile wystarczyło sił. Jesienią zbierano ziemniaki zasadzone wiosną przez nasze wojsko i przebywających tu jeszcze Niemców. A już późną jesienią i w zimie mieszkańcy zwozili drewno na opał, którego w lasach było wiele.

Do końca wojny z byłych terenów Rzeszy uciekło przed Rosjanami cztery miliony Niemców. Dalsze trzy miliony do końca 1945 r. Dwa i pół miliona ewakuowano do końca 1947 r. Na ziemiach już polskich zostało około dwieście tysięcy obywateli niemieckich. Do końca 1947 r. na tzw. Ziemiach Zachodnich osiadł jeden milion dwieście tys. Polaków, w tym dwieście pięćdziesiąt tysięcy z ZSRR.

22.02.1945 r. – zdobycie Choszczna.

Tuż po przejściu frontu, w marcu 1945 r. do Piasecznika zaczęli przybywać pierwsi Polacy, przeważnie byli to robotnicy przymusowi, pracujący u Niemców w okolicznych wioskach. Zajmowali mieszkania we wsi i w folwarku. Dla bezpieczeństwa mieszkali po kilka rodzin w jednym domu i razem przygotowywali posiłki. Pierwszymi, którzy tu się osiedlili byli Wacław Wójcik, Maria Żmuda (z dziećmi: Heleną i Stanisławem), Michał Radacki, Leon Nowak, Bolesław Jeleń, Andrzej Januszewski, Kazimierz Nasiłowski, Franciszek Krzak i Jan Misiński z rodzinami. Kilku młodych mężczyzn, którzy dopiero tu założyli rodziny, to: Leopold, Edward i Marian Posiła, Franciszek Redlak, Czesław Jeżewski. Potem bracia: Józef, Stanisław i Władysław Szubert. Ci pierwsi mieszkańcy sprowadzali swoich krewnych. Osiedlali też tacy jak my z transportów.

Ludzie pochodzący z różnych regionów natychmiast otrzymywali tutaj przydomki:my to "Zabugowcy".Inni to: „Centralniaki”, „Kajzaki” (od „kaj idziesz” – gdzie idziesz), „Poznańskie pyrki”, „Górale” oraz Ukraińcy (z tzw. akcji „W”).

Pierwsi mieszkańcy Piasecznika nosili opaski biało – czerwone na ramieniu i mieli pozwolenie na noszenie broni a w razie konieczności do jej użycia.

Broni wszelkiego rodzaju wszędzie leżało po wojnie pełno i wielu jeszcze długo ją posiadało. Broń tę zbierała potem milicja, wywoziła łodziami i topiła w jeziorze. Przy drogach stały wraki czołgów i samochodów wojskowych. W pobliżu obecnej Pakości, jeszcze w 1946 r. stały trzy uszkodzone czołgi rosyjskie.

Śłużba Polsce (SP), organizacja powstała tuż po zakończeniu wojny. Jej celem było przygotowanie młodzieży do pracy kolektywnej, poznanie podstawowych umiejętności: musztry, strzelania. Hufce chłopców i dziewcząt pracowały w Polsce i zagranicą (np. w Czechosłowacji, NRD). Pomagały przy wydobywaniu węgla w kopalniach, odgruzowywaniu miast, remontowaniu szlaków kolejowych, zasypywaniu lei po bombach na lotniskach, a także w pracach sezonowych w

PGR. Komendantem hufca SP w Piasecznika był kapral WP Jan Kalinowski, potem Bazyli Bobrowski.

12 HISTORIA PIASECZNIKA

Z dokumentu z 1232 r. (do końca drugiej wojny światowej dokument ten znajdował się w Niemieckim Państwowym Archiwum w Szczecinie) dowiadujemy się, m.in., że "(...) książe wielkopolski Władysław Odonic ofiarował te ziemie klasztorowi cystersów z Kołbacza". Katolicki zakon cystersów, założony w 1098 r. przez św. Roberta z Molesme, pierwszego opata z Cîteaux (z łac. Cistercium) (obecnie Saint-Nicolas-lès-Cîteaux) we Francji. Natomiast do Kołbacza zakonnicy przybyli w 1174 r. Tu dzięki ich zapobiegliwości powstał cały zespół budowli, kościół, klasztor i wiele, jak na tamte czasy, nowoczesnych i dużych budynków gospodarczych. Bracia „modlitwą i pracą” pomnażali swoje dobra. Większość terenów otrzymywali w formie darowizny od bogatych wiernych. Tereny te w latach 40. XIII w. odzyskał książę Barnim I. Tam wspomniana jest już osada Pecnick. W 1269 r. teren przygraniczny z Wielkopolską został zajęty przez margrabiów brandenburskich, którzy wykorzystali konflikt między joannitami z Korytowa i cystersami z Kołbacza. W 1402 r. margrabia Zygmunt oddał Ziemię Choszczeńską w dzierżawę na pięć lat Zakonowi Krzyżackiemu za 140 000 guldenów. Kiedy Brandenburgia obejmuje Pomorze to nasze tereny przejmuje na własność rodzina Wedłów z Krępcewa (Ludwik, Zygryd, Hasso, Henryk, Zulis, Rudolf). Od 1516 r. właścicielem wsi był Jakub von Gutenberg. Potem w niewiadomym czasie wieś przeszła na własność książąt panujących na Pomorzu. Dokument z 12 września 1587 r. mówi: Decyzją księcia Joachima Frydricha, m.in. Piasecznik przechodzi w posiadanie grafa Ludwiga IV Everstein, pana Nowogardu i Maszewa, (członek nowogardzkiego hrabstwa hrabiów von Everstein), po wpłaceniu do kasy państwowej 60 000 talarów.

Natomiast w Dolicach, w archiwum parafialnym znajdowała się stara metryka z 1591 r., w której zapisano wiele ważnych informacji oraz zaznaczono na mapie położenie i wielkość pól parafii Dolice zokreśleniem granic wsi Dobropole, Piasecznik, Morzyca, Ziemomyśl i zaginionej później wsi Treben. Tam już wieś Dolice nosi zbliżoną do dzisiejszej nazwę (Doliz, a od XIX w. do końca wojny Dölitz). Zamieszczenie w prawach własności wprowadza wojna trzydziestoletnia (1618 – 1648) i wojna ze Szwecją w 1637 r. (w styczniu 1645 r. proboszcz parafii dolickiej zdeponował ową metrykę wraz ze wszystkimi posiadanymi dokumentami i cenniejszym sprzętem w Państwowym Archiwum w Szczecinie). Po wojnie trzydziestoletniej są to ziemie Nowej Marchii. Od 1671 r. opanowują ją Prusacy.

Przez XVIII i XIX w. Piasecznik był wsią wyłącznie rolniczą. W 1784 r. było tu 25 gospodarstw chłopskich, 3 zagrodników, 7 chałupników, karczmarz i kowal. Nazwy naszej wsi od XIII w. brzmiały następująco: w 1278 Pecenik, 1591

Pecenick, Pecnick, 1674 Päcenick, w XIX w. Petznick. W 1774 r. powstał folwark domenalny. W 1778 r. zbudowano pierwszy młyn wodny. Zachował się fragment parku dworskiego z drugiej połowy XIX w. Po drugiej wojnie światowej wieś zmieniła nazwę: Pacyna, następnie Piaseczno i ostatecznie – Piasecznik. Do końca stycznia 1945 r. mieszkali tu Niemcy, istniała szkoła czteroklasowa z dwoma nauczycielami, piekarnia, rzeźnia, poczta z telefonem (od 1906 r.), sklep wielobranżowy, dwie restauracje, dom noclegowy, stolarnia, stacja benzynowa. Był też szewc, murarz, zdun, stelmach – kołodziej, akuszerka i kilku stałych pracowników leśnych (mieszkali na kolonii, w tzw. "pięciu chałupach za jeziorem") oraz kościół parafialny ewangelicki z plebanią i 100. hektarowym gospodarstwem pastora. Tutejszy pastor obsługiwał również wsie: Ziemomyśl A i B.

W centrum wsi stała ładna restauracja, a w niej wielka sala widowiskowa ze sceną. Na końcu wsi (od strony Radaczewa) stał dom dla młodych sportowców (budynek późniejszej kaplicy) i niewykończony gliniany domek dla ewakuowanych z bombardowanych miast Rzeszy i Prus Wschodnich. Większość mieszkańców wsi to rolnicy. W wyniku reformy rolnej otrzymali z „domeny państwowej” od 20 do 45 ha ziemi. Prawie każdy rolnik miał stałych robotników do pomocy w gospodarstwie. Kilkunastu z nich to rolnicy mający mniej niż jeden hektar. Zatrudniani byli do prac sezonowych w polu i w lesie. Oraz tzw. Būdner (chałupnicy), mający tylko ogródki. Jeziora były własnością rybaków. Majątek ziemski posiadał sto hektarów gruntów. Były dwa młyny wodne. Jeden w kierunku wsi Lipka, położony w głębokim wąwozie w malowniczym zakątku. Drugi przy drodze do Suchania (około 500 metrów od szosy). Był czynny jeszcze po wojnie do lat pięćdziesiątych z młynarzem Czesławem Królikowskim. Posiadał własną turbinę elektryczną. Wieś liczyła około sześciuset mieszkańców. Od 1912 r. było już we wsi światło elektryczne. Dawniej (za czasów niemieckich) wszyscy rolnicy hodowali tu owce. Przed pierwszą wojną światową w Dolicach, Mogilicy i Piaseczniku była wielka hodowla koni. W tych wsiach hodowano łącznie tysiąc młodych koni. Pod nadzorem fachowców przez rok ujeżdżano je i przygotowywano dla potrzeb armii niemieckiej. Gotowe do służby trzylatki zabierało wojsko i zaraz sprowadzano następne dwuletnie sztuki do dalszej hodowli. Od początku lat trzydziestych, aż do końca drugiej wojny światowej, zmieniły się oczekiwania od rolnictwa. Bardziej opłacalna stała się hodowla bydła mlecznego i mięsnego, świń i koni roboczych. A w czasie wojny wzrosło zapotrzebowanie na warzywa dla wojska z polowej produkcji. Tutaj w Piaseczniku produkowano je w znacznych ilościach.

Po inwazji Niemiec na Związek Sowiecki (1941), do Piasecznika skierowano pięćdziesięciu rosyjskich żołnierzy, jeńców wojennych. Zakwaterowani byli w piwnicach obecnej plebani. Posesja ogrodzona była drutem kolczastym i strzeżona w nocy przez wachmanów. Jeńcy ci codziennie chodzili do pracy w polu lub lesie. Byli bardzo źle żywieni. Tutejsi polscy robotnicy przymusowi, pracujący u niemieckichbauerów, kradli śrutę zbożową i w małych woreczkach podrzucali im za ogrodzenie. Najdogodniej i bezpieczniejszym było do nich dotrzeć w zimie, kiedy jezioro pokrywał lód. Rosjanin, który ze zmierzającej do pracy kolumny odbiegł w pole aby wyrwać brukiew, został zastrzelony przez

wachmana. Zmarłych grzebali pod murem w ogródku przed plebanią. Szczątki tych ludzi leżą tam do dziś. Podobne komanda jeńców znajdowały się również w Komorowie (kolonia przy drodze z Dolic do Sądowa), w Sądowie, Brańcinie i wielu okolicznych wsiach. W 1944 r. przybyło z bombardowanego Berlina, pięćdziesiąt dzieci szkolnych z pięcioma nauczycielkami - opiekunkami. Rozkwaterowani zostali wśród mieszkańców Piasecznika. Latem tegoż roku zaczęli masowo przybywać uciekinierzy z Prus Wschodnich i centralnych terenów przedwojennej Polski. Już w pierwszej dekadzie stycznia zaczęła się masowa ewakuacja niemieckiej cywilnej ludności z Pomorza. W popłochu przed sowietami, którzy teraz stali się wyjątkowo okrutni, tysiące ludzi ruszyło na Zachód pociągami, często w odkrytych wagonach, wozami, pieszo, pchali podręczne wózki z bagażem, a nawet ciągnęli tobołki na drabinach. Wszystkie drogi były zatłoczone uciekinierami. Chcieli żyć nie zważając na trudy i upokorzenia. Wielu z nich zginęło albo zmarło. Znosili pokornie głód, zimno, choroby, ostrzeliwania z samolotów. Zima była zmienna, raz wyjątkowo sroga, a potem zamarzająca mżawka zrobiła z dróg lodowisko. I ponownie duży mróz trzymający aż do połowy marca. Od czwartego lutego 1945 r. większość mieszkańców Piasecznika i berlińskie dzieci ewakuowano na zachód. Uciekinierzy z Piasecznika przez Stargard kierowani byli tak na tzw. „trasę nadbałtycką” i docierali na Rugię. Tu pozostawali do kapitulacji Niemiec.

Walki o te ziemie były zacięte. W drugiej połowie stycznia nad ranem, z południa, od strony Barlinka, wtargnęła niespodziewanie silna jednostka pancerna krasnoarmiejców, zdobyła Dolice i Brańcin. Zaskoczeni Niemcy wycofywali się w popłochu. Jednak szóstego oraz siedemnastego lutego próbowali ponownie odbić Dolice. Niemcy nadal zaciekle bronili się w Choszczynie, Pyrzycach i w Stargardzie. Około połowy lutego przebijając się przez Suchań, Radaczewo, Niemcy próbowali uwolnić swoich żołnierzy i ludność cywilną z broniącego się w okrażeńiu Choszczna. Zdobyli Bonin, Ziemomyśl A i na krótko przerwali okrażeńie Choszczna. Jednak Rosjanie ich wyparli. Dolice zdobywane były kilkakrotnie (wg. niemieckich źródeł siedmiokrotnie). Ostatecznie przyjmuje się datę 09.02.1945 r. Piasecznik i sąsiednie wioski dwukrotnie (front na Inie trwał dwa tygodnie). 26.02.1945 r. Niemcy zostali wyparci w kierunku Stargardu. Piątego marca Stargard skapitulował. Z kierunku Rzeplina, Rosjanie gnali wielką grupę wojskowych jeńców niemieckich. Na skrzyżowaniu drogi Brańcin - Lipka kazali wszystkim zdjąć buty i ustawić je w szeregu wzdłuż drogi. Bosych poprowadzili przez Lipkę i łąki nad Inę. Powiedzieli im, że kto przepłynie rzekę wpław jest wolny. Niemcy wskakiwali do lodowatej wody, a Rosjanie strzelali do nich z karabinów maszynowych. Jeszcze w lipcu pod mostami w Stargardzie widziano ich ciała. Wkrótce padł Recz i Choszczno (22.02.1945 r.), a na początku marca Szczecin. Opowiadano, że w Pyrzycach Rosjanie gąsienicami czołgów rozgnietli szpital niemiecki, wszystkich chorych, rannych, nawet dzieci. Powiedzieli, że to zemsta za białoruskie wsie, które Niemcy spacyfikowali i zrównali z ziemią w 1941 r. W walkach na Pomorzu rannych Niemców i ich koalicjantów dobijali saperkami. W walce o Piasecznik poległo piętnastu Rosjan, (o Radaczewo – 11, o Suchań 13). W 1953 r. ich szczątki przeniesiono na cmentarze w Choszczynie i Stargardzie. Pozostały groby trzech Rosjan na rozdrożu Choszczno – Dolice – wieś, gdzie nasi kolchoźnicy postawili pomnik.

Przedsiębiorstwo drogowe przebudowało skrzyżowanie i groby znalazły się pod jezdnią. Szczątki tych żołnierzy spoczywają tam do dziś.

Już wczesną wiosną tego roku Rosjanie przy pomocy mieszkających tu Polaków i pozostałych Niemców gromadzili blakające się po polach i pozostające w zagrodach bydło. Zganiano je do folwarcznych obór. Tu Niemcy musieli je karmić i doić. A potem pociągami wywieziono je do swojego kraju. Stodoły pełne były niemieckiego zboża. Na wiosnę 1945 r. Rosjanie, zmuszając do pomocy tutejszych Niemców młócili to zboże, a ziarno gromadzili w majątku w Radaczewie (Reichenbach). Sterty ze zbożem, których nie zdążyli wymłócić - podpalali. Ziarno zsypywano do magazynów gorzelni, na strych wielkiej obory, a nawet do piwnic. Tego zboża pilnowało dwóch wartowników, którzy w nocy od czasu do czasu strzelali w powietrze dając znać, że czuwają. Wiele wynieśli złodzieje, część wywieźli Rosjanie, a resztę zjadły wołki albo spleśniało.

W przeszłości Polski jest coś osobliwego, swoistego, ogromny trud pokoleń, długa lista niespełnionych ideałów i nieosiągniętych celów; stulecia krwawych zmagañ, zwycięstw, porażek, niewłaściwe sojusze i zmarnowane szanse i ciągła walka o wolność. Podobnie po wojnie wielu uświadomiło sobie, że ojczyznę sprzedano Rosji, że nadal jesteśmy w niewoli i trwa cicha okupacja. Trwały aresztowania, więzienia, sądy, rozstrzeliwania, obozy, deportacje, deprawacja i hańba.

Premierem Krajowej Rady Narodowej (w 1944 r.) został tow. Bolesław Bierut, który do końca 1942 r. był szefem zaopatrzenia na Białoruś w niemieckim Mińsku. Tu zebrał wielkie sumy pieniędzy, z którymi uciekł do lasu, skąd zabrał go sowiecki samolot.

Na konferencji poczdamskiej 2 sierpnia 1945 r. trzech wielkich: Winston Leonard Spencer Churchill, Franklin Delano Roosevelt i Josif Wissarionowicz Stalin, wyznaczyło naszą północną i zachodnią granicę, uznając, że tereny niemieckie na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej, to dawne ziemie słowiańskie. Dlatego Niemców wysiedlono za Odrę.

13 PO WOJNIE

Okres powojenny to czas dogodny dla handlarzy, złodziei i cwaniaków. Do szabru szczerze wzięli się nasi rodacy. Przy drodze do Choszczna była poniemiecka stolarnia z kompletem prawie nowych obrabiarek. Którejś nocy uzbrojeni szabrownicy przyjechali ciężarowym samochodem, zdemontowali wszystkie maszyny i wywieźli. Inni pozbierali stojące w okolicy porzucone niemieckie samochody osobowe. Wiele dobrych i sprawnych maszyn rolniczych na rozkaz władz zostało wystawionych na plac za wsią, skąd miały być wywiezione do Rosji. Jednak stopniowo je rozszabrowano, a reszta niszczała. Cegłę z uszkodzonych domów szabrownicy wywozili do „centralnej Polski” na "odbudowę Stolicy”, częściej jednak na własne domy i na handel.

Po przejściu frontu we wsi zostało jeszcze wielu Niemców, przeważnie starzy mężczyźni i kobiety z dziećmi. Pozostała wdowa Böning po oberżyscie –

właścicieli restauracji (Gasthaus) w środku wsi i jej trzy córki. Stary Niemiec Beerbaum z córką i dwoma wnuczkami z gospodarki leżącej przy drodze do Brańcina. Kilka rodzin niemieckich z gospodarzek położonych poza wsią w kierunku Dolic (Krause). Ich gospodarki zostały zniszczone przez przechodzący front a oni nie zostali powiadomieni przez swoje władze i nie zdążyli się ewakuować. Wrócili prawie wszyscy robotnicy z folwarku i koloniści z gospodarzek leżących przy drodze w kierunku Suchania. Wróciło też kilkanaście niemieckich rodzin ewakuowanych do Pełczyc. Stary Niemiec z gospodarstwa pod Brańcinem, ów Beerbaum, prosił Rosjan by pozwolili mu zostać. Odmówili. On ukląkł na kolana i powiedział: „niech cię ucałuję niemiecka ziemię”. Pocałował ziemię i płakał. Jego dom stał jeszcze wtedy nieuszkodzony. Tylko budynki gospodarcze były częściowo zniszczone. Obszerna i piękna była jego gospodarka. Jej ruiny dziś jeszcze można zobaczyć, chociaż wokół rośnie już wieloletni las. A na jego polu stały wówczas jeszcze fachowo ułożone dwie sterty dorodnego żyta.

Tu kilka zdań przepiszę ze wspomnień Margharety Plath, wdowy po pastorze i proboszczu parafii w Dolicach i Dobropolu Emila Plath. Jego to (pastora), Rosjanie po zdobyciu Dolic, razem z wieloma niemieckimi mężczyznami wywieźli w głąb Rosji i skierowali do pracy w zagłębiu donieckim, (Kramatorsk), jako jeńców cywilnych. Katolicki ksiądz niemiecki Alfred Nadolski z Schifelbein zwolniony w 1948 r. z rosyjskiej niewoli widział go w jednym z obozów, ale on sam nigdy już nie dał znaku życia. Z jej relacji wiemy jak wyglądało życie mieszkających tu Niemców, którzy po przejściu frontu wrócili do Dolic. Rosjanie serdecznie i w różny sposób im dokuczali. Więc wielka grupa samotnych kobiet zamieszkała w szkolnych izbach, a z własnych opuszczonych domów przeniosła potrzebne rzeczy. Były to łóżka, meble, naczynia kuchenne, lekarstwa z częściowo zniszczonej apteki itp. W każdy wieczór modliły się gorąco, by Bóg dał im przeżyć spokojnie noc. Rosjanie zmuszali ich codziennie do ciężkiej pracy. Niemieckie kobiety kopały groby i grzebały poległych, żywiły zwierzęta, doily krowy, a nawet grabiły łąki (bezsensowna i niedorzeczna praca w marcu). A jadali tylko ziemniaki, buraki i pokrzywy. Stąd ciągle występowały u nich biegunki i kłopoty żołądkowe. Osoby pracujące otrzymywały jeden mały chlebek na tydzień, kawałek koniny i sól bydlęcą do solenia. Niepracujące kobiety i małe dzieci nie dostawały nic. Starzy Niemcy (tylko tacy tu zostali i kaleki), tutejsi gospodarze, zbierali skórki chleba dla matek i ich dzieci, a żona młynarza kradła czasem torebkę mąki lub kaszy z młyna dla tych niepracujących kobiet i ich małych dzieci. Rosjanie przy pomocy maszyny parowej mieli zboże dla swoich potrzeb i dobrze pilnowali, by Niemka nic nie wyniosła. Rodzącą kobietę na wózku same zawiozły do Choszczna do rosyjskiego lekarza. A w niedzielne popołudnia wdowa po pastorze pocieszała w ogródku przy plebani młode dziewczęta „krzywdzone” przez Rosjan. Już w lecie te dziewczęta nareszcie swobodnie mogły się poruszać po wsi, bo ruch wojsk rosyjskich znacznie się zmniejszył.

W końcu lipca zebrano wszystkich Niemców, mieszkańców Dolic, Sądowa, Piasecznika, Morzycy i innych okolicznych miejscowości, na placu przed kościołem w Dolicach. Każdy z nich zabrał, co zdążył zapakować na wóz konny

(niektórzy niemieccy rolnicy wrócili na swoje gospodarstwa i mieli jeszcze konie) albo wózek. Matki brały dzieci w wózki. Zebranych gnano (większość piechotą) przez Pyrzyce w kierunku Odry. Noce spędzali w polu albo w ruinach napotkanych domów. W czasie ich marszu, mieszkający już tu ludzie odnosili się do nich niechętnie, a nawet wrogo i niczym ich nie wspomagali.

Wiele pól obsianych było jesienią przez Niemców. Wiosną polscy żołnierze orali pola by posiać zboża jare i ziemniaki dla mających zamieszkać tu Polaków. Rosjanie od chwili zdobycia wsi, wszystkich będących tu Niemców zabierali do różnych prac w polu i w byłym folwarku: do karmienia zwierząt, sortowania ziemniaków do sadzenia itp. Mężczyzn do siania zboża a kobiety i dziewczęta do wybierania z kopców i sadzenia ziemniaków. Niemieckie kobiety i dziewczęta były często gwałcone i szykanowane przez żołnierzy rosyjskich.

Polityka jest, jak mówią, drugą najstarszą profesją świata. Doszedłem do wniosku, że ma dużo wspólnego z pierwszą (Ronald Regan – Prezydent USA).

Administracja. Już w kwietniu 1945 r. działa Pełnomocnik Generalny dla Ziem Odzyskanych. Powstaje Biuro Ziem Zachodnich. Pełnomocnikiem Rządu Tymczasowego na teren Pomorza Zachodniego mianowany zostaje Aleksander Karczocho – Józefski i ppłk Leonard Borkowicz.

Natomiast nad wszystkim czuwają Radzieccy Komendanci Wojenni. W ich władaniu są wodociągi, gazownie, elektrownie, młyny, rzeźnie, piekarnie i inne ważne dla codziennego życia zakłady. Powstał Państwowy Urząd Repatriacyjny w Lipianach - Oddział Powiatowy. Potem zmieniony na Starostwo Powiatowe. Powiatem zarządzał starosta. A nadzorował jak wszędzie rosyjski podpułkownik. W tym czasie przyjeżdżali z powiatu polityczni agitatorzy (politruki) i tłumaczyli tu mieszkającym, że to są nasze piastowskie ziemie, teraz wreszcie odzyskane. Kazali jechać do swoich miejscowości w południowej i centralnej Polsce i sprowadzać rodziny, zajmować gospodarstwa ponemieckie. Manifest PKWN mówił o reformie rolnej, więc przybył mierniczy (pan inżynier) i wydzielał grunty dla rolników. Gospodarze otrzymali pola i łąki, średnio od ośmiu do dziesięciu hektarów. Rolnicy zaczęli normalnie gospodarzyć. Ale tych, co przystąpili z rozmachem do pracy i prowadzili większe gospodarstwa nazwali „kułakami” i w krótkim czasie zniszczyli, osadzając na kilka lat do więzień. Ich synów, poborowych ślali do kopalń, kamieniołomów i wszelkich grożących utratą życia, ciężkich niebezpiecznych prac w przemyśle. W piasecznickim pałacu majątkowym utworzono Urząd Gminy. Szefem mianowano Berlińskiego, sekretarzem został Stanisław Stankowski. A szeregowymi urzędnikami byli, Antoni Fahr i Tadeusz Łata. Wójtem wsi został Czesław Jeżewski, młody energiczny rolnik. Po jego aresztowaniu i rozkułaceniu na krótko zastąpił go Waclaw Wójcik. Drugim - Jan Trzmielak. Miał też własny sklep w Piaseczniku. Potem mieszkańcy wybrali Jana Parylaka. Jan Parylak, jako żołnierz armii Andersa przeszedł przez Irak, Palestynę, Egipt, Włochy i w maju 1944 r. zdobywał Monte Ciasno z drugim Korpusem Polskim. Sołtysostwo piastowali po kolei: Władysław Łobodzinski, Tomasz Witczak, Jan Zarzycki, Józef Jastrząbek, Tadeusz Filarowski, Lech Borek, Stanisław Rodzoch. W pałacu majątkowym mieścił się też posterunek milicji. Pierwszym komendantem był Stanisław

Owczarkowski a milicjantem Zenek (Zenon?). Potem (1946) Leon Ciesielski i Jan Głab. W piwnicach majątkowego pałacu zebrany był ze wsi i okolic cały arsenał.

Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy – UN RRA, tuż po wojnie, wspomagała również Polskę. Już w 1945 r. do Piasecznika docierały paczki z żywnością i używaną odzieżą. Ich podział rodził konflikty. Ci, co dzielili, lepsze i przydatniejsze rzeczy dawali krewnym i koleśiom. Innym, byle jakie drańci, barachło, do niczego nie przydatne.

Jesienią 1945 r. kilku mieszkańców wsi zmarło na tyfus, wielu pokonało tę chorobę.

W 1946 r. wielką plagą stały się myszy. Przed żniwami, patrząc na łąn zboża widać było jak kładą się żdźbła. Moi rodzice z jednego hektara żyta zebrali czterdzieści pięć snopków zboża, które natychmiast wymłócili, bo myszy by zjadły. Przychodziły transporty unrowskich koni roboczych (1948). Były to trzyletnie, zdrowe, spokojne, dobre i mocne zwierzęta. Na polach pracowały ciągniki, jeszcze produkcji niemieckiej „Lanz – Bulldog” i amerykańskie „Farmall”. W 1947 r. zszedł z taśmy nasz polski „Ursus” jeszcze na żelaznych kołach („koluch”). Orano ugory. Jesienią 1946 r. kilkunastoma ciągnikami zaorano ugory wokół Piasecznika, a potem ciągniki te pojechały w okolice Koszalina pomagać innym, by do zimy wszystkie pola były zaorane.

W 1947 r., amerykański sekretarz stanu G.C. Marschal opracował program amerykańskiej pomocy gospodarczej dla zniszczonej Europy. Trzyście miliardów dolarów miało pomóc i przyspieszyć szybką odbudowę gospodarczą zniszczonych wojną krajów. Tą pomocą miała być objęta również Polska. W 1949 r. nasz sojusznik zabronił z niej korzystać. Rosja była nam przyjacielem, służyła pomocą i świeciła przykładem. Koła jadących ze wschodu (z Rosji) wagonów z pomocą, wystukiwały wesoło: ta-bak, ta-bak, ta-bak. A lokomotywy ciągnące polskie składy na wschód z wielkim wysiłkiem sapały: psze-ni-ca, psze-ni-ca, świ-nie, świ-nie, świ-nie. Nagonki na: bikiniarzy, prywaciarzy, badylarzy, warcholów, bananową młodzież, niebieskie ptaki, spekulantów, słowem grupy społeczne, których istnienie kłóciło się z socjalistycznym obrazem społeczeństwa.

Kolektywizacja. (Dla nowego systemu gospodarczego nawet nazwa się znalazła).

W 1948 r. w poniemieckim folwarku powstało Państwowe Gospodarstwo Rolne na 460 hektarach gruntów. Podstawową siłę pociagową stanowiły konie i bydło. Kierowali nim zdolni i mniej zdolni kierownicy: Głowacki, Bazyli Bobrowski, Goździkowski, Kidoń, Śliwicki, Jan Tafelki, Jan Piecyk. Następuje reorganizacja i powstaje zespół gospodarstw. Kieruje nim Przydrożny, Bernard, Kwiatkowski, Woś, Stanisław Krzaczkowski. Rozsypuje się komuna i państwowe gospodarstwa. Resztkami majątku w Piaseczniku zawiaduje już w rozsypce – Edward Badach. Pierwszy kierownik pan Głowacki, dobry rolnik dbający o kondycję gospodarstwa, jako niewygodny i niewierny, zwolniony został z posady za błażostkę. Wiosną, wieczorem dwóch funkcjonariuszy partyjnych zwróciło się do pana Głowackiego, by odwieźć ich na dworzec do Dolic. Kierownik odmówił

mówiąc, że robotnicy i konie od rana cały dzień pracują w polu i nie ma ani ludzi ani koni na niepotrzebne rozjazdy. Najpierw były różne prowokacje partyjne a potem zarzucono mu, że za wcześnie skosił żyto i nielegalnie zatrudniał służącą.

Pod wielką presją i przymusem we wsiach zawiązały się Spółdzielnie Produkcyjne (1950 - 1956), pospolicie nazywane „kołchozami.” Agitacje, zebrania. Zadania planu 6 – letniego możliwe do zrealizowania tylko w gospodarce zespołowej. Przewidywano szokujący postęp, nowoczesne metody uprawy, wysokie plony, szeroką pomoc państwa, duże zyski z uprawy połączonej ziemi, niepodzielonej miedziami, traktory i nowoczesny sprzęt rolniczy. Pierwszymi członkami zostali kombinatorzy polujący na stanowiska, gdzie przy minimum wysiłku osiąga się spore zyski. Następni to pijacy i lenie, którzy zaniedbywali własną ziemię i gospodarstwa. Ośmieszano starannego, dobrego gospodarza, który w karykaturze zawsze widziany był, jako grubas siedzący na workach ze zbożem, sprzeciwiający się władzy i wyzyskujący innych. I tu był taki przypadek: Pan Jeżewski, dobry rolnik z rozmachem przystąpił do uprawy dwudziesto-hektarowego gospodarstwa. Miał trzy mocne konie, dwoje służących. Sam też pracował uczciwie. Jego właśnie zniszczono, wsadzono do więzienia, odsiedział kilka lat i tu już nie wrócił. Rolnicy swoje bydło, świnie, konie, maszyny rolnicze, pasze i ziarno z wielkim oporem oddawali spółdzielni i codziennie chodzili tam do pracy. Wielu niegdyś jeszcze zdrowych, nagle stało się poważnie chorymi. Każdy chciał być brygadzystą lub magazynierem. A do pracy nikt się nie kwapił. Poranne zbiórki (gdzie rozdzielane były prace i obowiązki na dany dzień) z powodu rzekomo nie sprawiedliwego podziału pracy, przedłużały się często do godziny jedenastej. Specjalnie wybrana spośród członków komisja, ustalała za jakie prace, ile punktów (szajdów – skąd się wzięło to określenie nie wiem) do wynagrodzenia pracownik ma otrzymać. Jedna dniówka to 100 szajdów. Podam przykład wynagrodzenia: odstawiający i wiążący worki przy młocarni zarabiał dwie dniówki dziennie (zawsze dwóch mężczyzn). Natomiast odbierający słomę za młocarnią, cały dzień pracujący w kurzu i hałasie, jedną dniówkę! Takich nieprzemyślanych bezsensownych zarządzeń było wiele. Ludzie pracowali bez zapału, wlokły się prace polowe, nawozy zamiast wysiać, zakopywali gdzieś w lesie, plony przepadały niezebrane. Różne produkty, jak zboże, a nawet świnie, kradli złodzieje i przepijali. Ziemia rodziła coraz mniej i szybko przyszło rozczarowanie, stałe waśnie i kłótnie; ogólna wrogość i niechęć; rozprężenie i bałagan; złodziejstwo i pijaństwo, co doprowadziło do zmarnowania całego majątku. Nasadzono kilka hektarów kapusty dla wojska. Transportem konnym wożono ją do wagonów w Dolicach. Dwa wozy sprzedano w Dolicach cywilnym kupcom. Wszyscy się tak popili, że jeden z nich zgubił koło od wozu. Dopiero na drugi dzień zobaczył do połowy startą oś swojego wozu, która tarła przez kilka kilometrów o powierzchnię drogi. Koło zaś leżało w rowie cztery kilometry od wsi.

Przewodniczących i innych funkcyjnych wybierali wszyscy członkowie. Kolejni przewodniczący spółdzielni produkcyjnej to: Kazimierz Popowski, Andrzej Urban, Jan Jastrząbek, Leon Nowak.

Magazynierzy: Władysław Danicki, Władysław Zawadzki.

Księgowy - Piotr Szczepański.

Pracownik biurowo-księgowy: Marcin Czukiewski. Do „kołchozu” wstąpili wszyscy rolnicy, tylko Jan Szramiak, Franciszek i Wiktor Hryniewiczowie przez okres jego istnienia gospodarzyli indywidualnie. Wreszcie cały ten bajzel rozpadł się, nastąpił podział resztek majątku trwałego i inwentarza. Trzeba było z wielkim mozolem odtwarzać własne gospodarstwa, od początku wszystko zaczynać; kupić bydło, konia i sprzęt rolniczy.

W tym okresie Polacy chodzili do pracy, a budżet udawał, że płaci (wszyscy byli zatrudnieni). Statystyczny Polak zarabiał powiedzmy 800 zł a zanosił do sklepów 1600 zł. Nawet mieszkańcy bogatych krajów nie mogli pojąć tego naszego fenomenu ekonomicznego.

Szkoła.

Wczesną wiosną 1946 r., po prowizorycznym remoncie i naprawieniu szkód oraz odświeżeniu dwóch izb w byłym budynku szkolnym, zaczęła się nauka. Najpierw tylko cztery oddziały. Pierwszym nauczycielem był Paweł Szramiak. O nim wspomnę później. Wieczorami uczono czytać i pisać analfabetów (1948 – 1949), to znaczy ludzi starszych. Już w 1951r. p. Władysław Nahorski i p. Stefan Kujawski z dziećmi dali pierwsze przedstawienie – tragedię pt. „Stary rybak” (nie pamiętam autora), którą widownia przyjęła szczerymi oklaskami. Występował też zespół artystyczny starszej młodzieży z Sądowa, którego występ wszystkim się bardzo podobał. A od 1955 r. była już szkoła siedmioklasowa. Lekcje religii prowadził w kaplicy Ludwik Szkolnicki. Od stycznia 1957 r. religię (już w szkole) prowadził ks. Słowacki, ks. Wiśniewski i ks. Bronisław Olender. Potem w domu prywatnym u Kazimierza Nasiłowskiego. Nauczyciele tu pracujący to: Paweł Szramiak, Julian Zawadzki, Elżbieta Woch, Stefan (nazywany Funio), Jan Grzeszczuk, Antoni Możdziej, Regina Chaber, Władysław Nahorski (pracował w tutejszej szkole 33 lata), Stefan Kujawski, Edward Dąbecki, Teresa, Maria Sochacka (Radwańska), która pracowała tu 36 lat. Helena Karwat i Genowefa Jędrzejek (Nahorska) pracowały tu 34 i pół roku. Jan Łozdowski, Maria Zawadzka, Bogdan Orest Bury, Czesława Liwak, Ewa Zaręba, Honorata Pudełkiewicz (Skowron), Helena Frątczak (Okońska), Zofia Wójcik, Anna Maślak, Leon Semeniuk, Władysława Stecka, Henryka Kwiatkowska, Anna Łucka, Nikodem Koronowicz, Dora Piątkowska, Genowefa Gierka, Barbara Kujawa, Maria Karczmarska, Irena Noga, Wojciech Mumot, Maria Kamieńska, Czesława Zadka, Mearandana Zielińska, Krystyna Wasiluk, Maria Żyłka, Dorota Dalgiewicz, Elżbieta Rybka, Elżbieta Borkowska, Maria Pudełko, Małgorzata Dziubczyńska, Maria Jędrzejczyk, Renata Listowska.

Kilka słów o Pawle Szramiaku. 19 czerwca 1946 r. nasz nauczyciel, Paweł Szramiak pojechał rowerem do Dolic odebrać przesyłkę z poczty. Tam ze swoimi kolegami - też nauczycielami: Stanisławem Żukiem, Janem (albo Florianem) Szczepańskim i Franciszkiem Boguckim (który na to spotkanie przyjechał z Krakowa(późniejszy profesor Uniwersytetu Toruńskiego) wypili po dwa kieliszki wódki. Paweł pożegnał się i pojechał do Piasecznika. Wieczorem jego brat zaniepokojony zaprzęgał konie i pojechał do Dolic. Koledzy zdziwieni powiedzieli,

że on tuż po południu odjechał rowerem do Piasecznika. Wzięli latarki i szli poboczem drogi aż do Piasecznika, ale niczego nie zauważyli i nie znaleźli. Na drugi dzień od rana znowu szukali. W lesie, na skraju drogi dostrzegli ślady krwi, a nieco dalej wygniecioną trawę. Kilkanaście metrów od drogi znaleźli jego ciało przykryte gałęziami. Miał wyklute oczy, pokaleczoną pierś i trzy rany po kulach karabinowych (tzw. dum – dum). Tamtego dnia Władysław Jastrząbek i Leon Nowak, kosili trawę na leśnych polanach i strzały te słyszeli. W dzień pogrzebu przyjechała z Lipian ekipa śledcza milicji. Odwołali pogrzeb. Oglądali zwłoki, pytali o szczegóły. Dnie były upalne, ciało już zaczęło się rozkładać. Rodzina nie zgodziła się na sekcję i ciało pogrzebano. Do dziś nikt nie wie kto oraz za co go zamordował. Przyjęto, że zrobili to dwaj Rosjanie, których nastąpiła matka jednego z jego uczniów - Sadowska, którego rzekomo p. Szramiak szykanował. Ludzie widzieli rzeczywiście dwóch podpitych Rosjan idących przed południem z karabinami w kierunku Dolic. Potem ktoś niby słyszał jak ci Rosjanie chwalili się: ubili 'kabana' kak sabaku. Po latach, z poskładanych fragmentów rozmów i przemyśleń wyłania się (jestem przekonany) prawda, której teraz nie sposób udowodnić, a która, (przyznam szczerze) zaszokowała mnie mocno. Żył w Piaseczniku tylko dwóch mężczyzn, którzy na pewno ją znali i zabrali ze sobą do grobu. Inna wersja wygląda następująco: W Piaseczniku odbyło się propagandowe zebranie przed wyborami „3 x tak”. Prelegent z Lipian, nieudolnie przekonywał mieszkańców, by głosowali za władzą demokratyczną, która z troską zadba o chłopów i robotników, stworzyła ludziom warunki do pracy i godne życie, dzieciom warunki do nauki. Przypominał czasy przedwojenne – sanacyjne. Jednym z ważniejszych założeń nowej władzy miało być zniesienie senatu. Paweł Szramiak skrytykował logicznie i ze znajomością rzeczy argumenty prelegenta. A zebrani poparli je entuzjastycznymi brawami i wszyscy się rozeszli. Wtedy prelegent powiedział do Pawła, że jeszcze tego pożałuje. Paweł Szramiak urodził się w 1908 r. w Dublanach. Tu uczył się w szkole powszechnej. Gimnazjum skończył w Samborze. Po służbie wojskowej, razem z Franciszkiem Boguckim ukończyli Szkołę Policyjną w Krakowie. Tam też pracował w policji. Jego narzeczona – nauczycielka Aniela Szczęsna, urodzona w 1913 r., po śmierci narzeczonego, nie zmieniła stanu cywilnego. Od 1946 r. do emerytury pracowała w szkole w Strachocinie koło Stargardu. Zmarła w 2006 r.

Opiszę teraz zdarzenie, które wówczas dla nas uczniów mogło być przykre w skutkach. Szkoła dostała pierwszą prawdziwą skórzaną piłkę. Przedtem piłki robiliśmy z opon zdjętych z kół armaty. Były ciężkie i brudziły wszystko na czarno. W tym dniu padał deszcz i w czasie długiej pauzy graliśmy w klasie. Ja tak niefortunnie kopnąłem tą piłkę, że trafiła w wiszący na ścianie portret Rokossowskiego. Szkło się rozsypało i marszałek spadł na podłogę. Zdałem sobie sprawę, że stało się coś złego. Portret schowałem za piec i obłożyłem drewnem, które woźny składał do podsuszenia. Szkło ktoś zebrał i wrzucił do kosza na śmieci. Wszyscy poczuli się winni i przestaliśmy grać. Nauczyciel w tym dniu nie spostrzegł braku portretu. Natomiast woźnego zastanowiło szkło w koszu. Obejrzał szyby w oknach. Wszystkie były całe. Ale tam gdzie przedtem wisiał portret na ścianie był jaśniejszy prostokąt. I na drugi dzień zostaliśmy zapytani, „co się stało z portretem?”. Świadcowie zdarzenia i uczestnicy gry solidarnie milczeli. Nauczyciele zaczęli pojedynczo wzywać uczniów do kancelarii. Kiedy

stanąłem przed ciałem pedagogicznym, przyznałem się i opowiedziałem całe zdarzenie. Kazali mi przynieść portret. Na nieszczęście, kiedy go wyciągałem z za pieca rozdarł się. Zostałem posadzony o celowe i świadome zniszczenie portretu. Wieczorem nauczyciele przyszedli do rodziców i przedstawili mnie, jako wielkiego łobuza i przestępcę, opisali w czarnych kolorach co mnie czeka, kiedy dowiedzą się władze wyższe. Ale po długiej „rozmownej” wszystko ucichło. Za kilka dni tato kupił w Choszczynie nowego marszałka. I Konstany ponownie zawisł na ścianie, słuchając wykładów nauczycieli i odpowiedzi polskich dzieci.

W marcu 1953 r. zmarł Józef Stalin (Soso). Byłem uczniem siódmej klasy szkoły podstawowej w Dolicach. Uczniowie pełnili nakazaną wartość honorową przy portrecie Wissarionowicza. Frajda. Dzień wolny, dzieciarnia szalała po całej szkole i nikt jej nie kontrolował. A grono pedagogiczne zebrało się w pokoju nauczycielskim na pogaduchy. Katowice, ulice wielu miast, fabryki, nawet "wychodki" nosiły imię „batuszki Stalina”.

Przez wiele lat, w dzień pierwszego maja, odbywały się targi książki i prasy, loterie, różne imprezy kulturalne, zabawy publiczne połączone z bufetami. Uczniowie wygrali tych książek wiele, a ja aż dwanaście egzemplarzy (Dolice - 1953). Większość autorów to pisarze radzieccy. Czytać tego się nie chciało, bo tematyka była z gatunku „Rosyjski las” albo „Zimny wychów cieląt”. Kogo to interesowało? Większość z nich rozrzuciliśmy po wsi albo powrzucałiśmy do rzeki Iny. To także okazało się przestępstwem. I tu rozsądek nauczycieli uratował nas od poważnych konsekwencji. Kazali wybierać te rozjechane egzemplarze z ulicy i o wszystkim zapomnieć. Potem dyskretnie sprzedaliśmy je na makulaturę. W tym okresie i mnie zachwycała czerwona wstążeczka i chorągiewka. Czas refleksji przyszedł znacznie później, młodzieńczy entuzjazm ostygł i przyszło rozczarowanie. Poznanie prawdy ostudziło go skutecznie, nastął czas refleksji i buntu. Kilka moich refleksji i analizę czasów znajdziesz czytelniku na ostatnich stronach. Fragment listu K. Nowińskiej – działaczki podziemnej Solidarności, to jakieś nieporozumienie. Doczekaliśmy się oto dziwnego państwa, gdzie jednakowo waży cnotę i występki, tchórzostwo i bohaterstwo, a koszty ponoszą zwycięzcy zamiast zwyciężonych. Czy, wobec tego był jakiś sens, aby oddać tej walce kilka lat życia pełnych wyrzeczeń? Czy warto było, kiedy jeszcze teraz znaczna część społeczeństwa tęskni do tamtej Polski? („Salon” – Waldemar Łysiak). Nie pojmuję. Służyli z głębokiego przekonania, „wierzyli w sprawę” czy dla własnych profitów? Ludzie honoru, ludzie wielkiego ducha nie sprzedają się za judaszowe srebrniki, nie gną karków, nie lżą i nie udają. Niedawni słudzy reżimu, a często i okupanta, szydzący z naszych tradycji, połączyli się z ofiarami, tłumacząc, „bo wszyscy zostaliśmy oszukani”. Winna jest tamta epoka. Oni nie wiedzieli, jakimi problemami żyło społeczeństwo?

Trzydziestu czterech z „inteligencji twórczej” protestowało u J. Cyrankiewicza (13.03.1964). Reżim się wściekł i przykręcił śrubę. Protestujący ucichli. Partia raz, dwa i wszędzie wkręciła „dzierzymordów” i spowolniła powiew świeżej myśli, „uspokojono” ruchy postępowe i młodzieżowe (1968 bunt studentów). Cenzura drażyła media (środki przekazu i "dez-informacji"). Huzia na „syjonistów” (1968 – 1969) i ich masowa emigracja z kraju.

Wróćę jeszcze do okresu Bieruta i Gomółki: Kto wyczuł „wiatr” i podniecała go nasza władza (prosta, przystępna, swojska), ten szybko się aklimatyzował. Rząd potrzebował na gwałt inteligentnej elity. Dlatego służyła mu nieliczna grupa intelektualistów, profesorów, literatów, dziennikarzy, aktorów (nawet duchownych), hałaśliwych, agresywnych donosicieli, krzykaczy, miernot, tępicielei „wrogów klasowych”. Inni „inteligencja twórcza” nadszkakiwali władzy, chwalili ustrój, by chronić swoje przywileje i kieszenie. Patriotyczna Warszawa tą zgrają sługusów nazywała „księstwem warszawskim” albo „dobranym towarzystwem”. Zacytuję tu S. Murzańskiego: *„Ów krąg stalinowskiego piekła, jakim była kultura tego okresu, zaludnił tłum artystów literatów i naukowców”. Oni brali nagrody, medale, wczasy, talony, paszporty, samochody, mieszkania, stypendia. Słyszeliśmy o „domu pracy twórczej”.*

Na zachodzie, w świecie realnego kapitalizmu, nie powodziło się tak dobrze profesorom, pisarzom czy aktorom. U nas wszyscy się wspierali, były nominacje profesorów, przewodniczących różnych organizacji i stowarzyszeń. Do dziś niektóre intratne zawody są dziedziczone (prawnik, lekarz). Wszystko funkcjonowało zgodnie z odwiecznymi regułami przestępczo – kumoterskimi. Każda koteria, mafia, ferajna, sitwa, klika, była bezpieczna i wygodna. Prawie sami semici. (Same Żydy, same Żydy, jak się pozbyć tej ohydy?). Dlatego, ci kiedyś pieszczeni, opływający w honory, żyjący w dostatkach, fałszujący obraz przeszłości, dziś skamla, że biedni, że im mało. Im cięższy był terror, trudniejsza wegetacja społeczeństwa, tym gorętsza i wznioślejsza była treść dyrdymałów. Tracąc pamięć, tracą życie. Tylko w Polsce uratowali się i rządzą komuniści. W NRD była „rewolucja muru”, w Czechosłowacji – „aksamitna rewolucja”, w Bułgarii – „wygruzenie” Żiwkowa, w Rumunii – rozstrzelanie Ceausescu, Litwa, Łotwa – rewolucja wieży telewizyjnej, Węgry, Estonia – komuniści wykopani i rozbici.

Myśli i zapiski do wykorzystania.

W Polsce gorzałka traktowana była jako lek na wszystko: na spanie, na gryzienie, na frasunek, na apetyt, na prezencję, na śmiałość, oblewanie interesów i pita przy różnych okazjach - pępkówka, parapetówka, weselna ... Jak tu nie k-pić? Nad podziw uniwersalny napitek.

Niemal wszyscy mieszkańcy „pędzili bimber”. Pito z okazji i bez okazji, często i dużo. Wtedy to był drugi i pewny pieniądz w obiegu. Nasz wuj Kisielewicz za dobry bimber kupił pięknego karego ogiera. Pewien mężczyzna, mieszkaniec Choszczna handlował z Rosjanami. Płacił, oczywiście bimbrem. A że Rosjanie naród gościnny i towarzyski, zaprosili go na poczęstunek. Na stole pojawiły się "sztakany", chleb i cebula. Człowiek ten wódki w życiu nie pijał i „takoj balszój sztakan” go przeraził. Na domiar złego od pewnego czasu zdrowie coś mu szwankowało, chudł i nie miał apetytu. A tłumaczenie, że on balnoj i wodki pić jemu ni lzia, Rosjanie przyjęli z humorem. Sadiś drug, wypijom za zdarowie, zakusim, pogawarim. Napił się, więc tego bimbru, zakusił lukowicoj (cebula) raz i drugi, aż 'film mu się urwał'. Drugiego dnia ciężko skacowany przysiadł za stodołą i wys..ł chyba ze dwie garście robactwa. Chłop zaczął odzyskiwać

zdrowie. Wrócił apetyt, przytył. Stwierdził, że czasem wręcz należy wypić 'za zdrowie'. Chwalił naszych wschodnich „drugow” za tak skuteczną i niespodziewaną kurację.

Wśród Rosjan krążyła bajeczka - piosenka, mówiąca o tym jak to jest w ich sztabie: *"kamandiry padumali, padumali, a patom zakazali. Zakazali wodku pit! A na dwierach napisali: Biez pał litra ni wchadi"*.

Jeden z naszych sąsiadów, Józef P. na wesele swojej córki, przez całą noc „wypędził” pełne dwa wiadra samogonu i postawił na podwórzu by wystygł. Sam poszedł posprzątać i schować aparaturę. W międzyczasie jego żona chciała napić konie. Wzięła te wiadra, ale konie nie chciały pić, więc wylała i wiadra zabrała do domu. Sąsiad wyszedł i wiader nie znalazł. Więc, pyta żonę: „Gdzie wiadra, które stały przy schodach?” Ona mówi, że: „Wodę z tych wiader dawała koniom, ale nie chciały pić, więc wylała”. On wpadł we wściekłość, złapał się za głowę i krzyczy: „Juj, Hanka, a szlak by ciebie trafił, to ja całą noc ten bimber pędził, a ty durna babo wylała. Nu, bój si Boga. Ja ci chyba zabiji”. Chwycił jakiś kostur, biegnie za nią i krzyczy: „Nu, co ja teraz gościom na stół postawię?”. Kobieta pół dnia bała się zbliżyć do domu. Wtedy jego przyszyli zięć, po dłuższych tłumaczeniach, jakoś go udobruchał. Złość mu minęła i sam żonę zawołał i przebaczył.

Zdarzenia. Młodzi chłopcy robili sobie zawody strzeleckie. Przynieśli karabin, wiadro naboju, ustawili na słupku tarczę i strzelali do celu. Kiedyś nad „drugim jeziorem” kilku chłopców strzelało po lustrze wody, a kule rykoszetem przelatywały nad drogą prowadzącą z Piasecznika do Brańce. W tym czasie przejeżdżała tamtędy kolumna rosyjskich żołnierzy. Rosjanie zeskoczyli z samochodów, utworzyli tyralierę i zaczęli ich okrażać. Chłopcom zabrali karabiny i wytargali im uszy.

Rosjanie mieli oryginalny sposób zbierania owoców z drzew. Drzewo z pięknymi owocami po prostu ścinali i dopiero wtedy zjadali to, co dorodniejsze na nim wisiało. A przydrożne czereśnie kładli na samochód i jadąc obrywali. Tak w piasecznickich sadach zniszczyli wiele drzew owocowych.

Wszystkie domy od obecnego Ośrodka Rehabilitacyjnego do końca wsi w kierunku Radaczewa, zajmowało rosyjskie wojsko, dlatego tę ulicę do dziś nazywamy „Ruska”. Kwaterowali tu od zakończenia wojny do pierwszych dni czerwca 1946 r. Żołnierze często upijali się, wtedy przychodzili w nocy do zamieszkałych w majątku i na „Zaolziu” Polaków, stukali kolbami w drzwi i żądali jedzenia, bimbrow i gościnności. W nocy pijani Rosjanie zrabowali dwie krowy Janowi Szkolnickiemu, Józefowi Pakosowi krowę i konia, a Józefowi Kisielewiczowi dwa konie. Władysławowi Parylakowi dużą klatkę z kurami wrzucili do stawu. W głębokiej dolinie dwa kilometry za wsią, po prawej stronie, przy drodze do Choszczna, mieli kuchnie wojskowe (przygotowywali tam posiłki dla przejeżdżającego wojska) i tam te krowy pognali. Rabunki rosyjskich żołnierzy były częste. Soldat potrafił zabrać nawet tytoń. W dzień też przychodzili, grzeczni, gwarzyli z kobietami a zawsze z myślą, by napić się bimbrow.

Mieszkańcy wiedzieli, że Rosjanie wkrótce opuszczą wieś, więc upatrywali sobie gospodarstwa na tej ulicy. Rosyjski komendant za butelkę bimbru pozwalał przejść „ruską” ulicą i upatrzeć sobie gospodarstwo. Czesław Jeżewski za większą ilość bimbru otrzymał nawet pozwolenie na poprawienie dachu na wybranym przez siebie domu. Kiedy poprawiał ten dach, na schodach domu po przeciwnej stronie ulicy siedziało dwóch Rosjan i przez całe popołudnie przyglądali się jego pracy. Wieczorem, kiedy szedł już do domu, jeden z nich mówi: chadźaj, wodku imiejesz? On odpowiedział: niet siejczas nie imieju. Nu płocho chadźaj, płocho. Wziął pepeszę leżącą przy nim na schodach i puścił serię po tym naprawionym dachu. Następnego dnia Jeżewski znowu naprawiał dach a oni siedzieli i patrzyli. Wiedział, że Rosjanie znowu ten dach postrzelają, więc poszedł do komendanta i opowiedział wszystko. A komendant na to: chadźaj, słuszaj, mai sałdaty toże wodku pijut. Rad nie rad przyniósł ten bimber i dach już nie był niszczoney.

Wielu frontowych żołnierzy WP zwalniano do cywila. Wiosną 1946 przyjechali do Piasecznika: Andrzej Chępa, który w szeregach WP brał udział w wyzwaniu Piasecznika, Bazyl Bobrowski i Władysław Dziubczyński. Urząd rolny proponował żołnierzom poniemieckie gospodarstwatu na Ziemiach Odzyskanych. Demobilizowani żołnierze pochodzenia chłopskiego zasiedlali więc całe wsie (np. Suliszewo – nazywane po wojnie Sierżantowem, gdyż osiedlili się tam w większości właśnie sierżanci).

Był to czas oczekiwania, agresywnej propagandy, urabiania społeczeństwa i cichej walki o opanowanie i zniewolenie Polaków. Propaganda, tak jak dziś reklama, miała wielką siłę i nie jeden zgłupiał pod jej urokiem. Zastanawiam się czasem, jakich argumentów używali, że potrafili tak ludzi ogłupić i skłonić do posłuszeństwa? Tak robili już: Niemcy, Ukraińcy, Rosjanie i my Polacy, a także inne państwa na świecie. Samo posługiwanie się nią jest prawdziwą sztuką, która musi być właściwie ukształtowana, a umiejętnie podana, zmienia ogólnie uznane prawdy. Kto ten instrument opanował, ten z mistrzowską zręcznością otumani słuchaczy i osiągnie zamierzony cel, a propaganda sowiecka to ich najlepszy produkt eksportowy.

Zaczęły się przygotowania do wyborów. Partie polityczne propagowały swoje programy. Całe tabuny agitatorów chodziły od domu do domu i przekonywały do swoich racji. Cała wieś oblepiona była w dzień plakatami jednej orientacji, a w nocy przeciwnicy zdzierali tamte i nalepiali swoje. „3 razy tak”! To Polska robotniczo – chłopska. Ciekawy był to program polityczny: Świat sprawiedliwy i praworządny, świat bez wojen i grabieży, bez ucisku i nienawiści międzynarodowej, bez cenzury, bez głodnych i bosych dzieci, bez analfabetów, bez tortur i zabójstw politycznych. Tamta Polska rozczarowała, nie spełniła marzeń! Ani socjalizm, ani komunizm nie sprawdził się. Zaraz po wyborach władza ludowa po cichu usuwała „wrogów” i krnąbrnych. Na wzór naszych wschodnich sojuszników powstał Urząd Bezpieczeństwa. Zwerbowali spośród mieszkańców donosicieli. Wszystkich „wrogów”, co wyznawali inne poglądy, zamykali i sądzili. Zaczęły się podsłuchiwanie, głupie, bezpodstawne, a często nawet złośliwe donosy na współmieszkańców. Trzeba było trzymać język za

zębami, bo jedno nieopatrzone zdanie mogło zaprowadzić do więzienia. Te donosy na wsi były raczej małej wagi, ale miały niezbyt przyjemne konsekwencje. Nie działały tu żadne organizacje polityczne. Ludzie chcieli żyć spokojnie i zasadniczo starali się nie komplikować sobie życia. Tak na przykład dwóch Dzedziejów, wskazanych przez kapusia, podejrzanych o posiadanie broni, wieczorem wywieziono do Lipian (50 kilometrów). Do rana siedzieli zamknięci w piwnicy. A po przesłuchaniu, dopiero następnej nocy wrócili do domu maszerując pieszo te pięćdziesiąt kilometrów. Czas był niespokojny. Wielu zachwycała czerwona wstążeczka, a chorągiewka budziła entuzjazm. Zamierzone poczynania spełniały się. Działo się wiele. Plany nakreślone z wielkim zamachem, odbudowa, rozbudowa, paraliżowane były poczynaniami politycznymi. Nastął czas rozliczeń różnych stronnictw politycznych. Ulegali słabsi. Propaganda, sfałszowane wybory, doprowadziły do wygranej systemu wschodniego. Ci nie tolerowali rywali i szybko się z nimi rozprawili. Cichą, acz skuteczną represją gruntowali swoją pozycję. Reformy nam nieznane, choćby rolna, nacjonalizacja majątku prywatnego i przemysłu, niosły pozory, że rządzi naród. To były fascynujące czasy, wielkie szanse dla ludzi z inicjatywą. Można było robić karierę a tym samym stać się narzędziem systemu. Aż język śwędzi by wymienić kilku takich "zasłużonych", którzy wyrządzili mieszkańcom wsi wiele bolesnych krzywd.